

Nr 3 (32)  
2008



Zadanie dofinansowane  
za środków MKiDN  
w ramach programu  
operacyjnego  
"Promocja czytelnictwa"

ISSN 1732-1069



# PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.  
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

**Marek Grewling**

## PO WAKACJACH

W czerwcu zanosilo się na to, że wakacje będą piękne i bez-troskie. Tymczasem lato dostarczyło emocji. Małostkowa wojna na górze, co wstyd na nią patrzeć – o polska żałości. Prawdziwa wojna w Gruzji, na którą z kolei strach patrzeć. Gdy w sierpniu usłyszałem o aliansach militarnych i zbrojeniach, poczułem klimaty rodem z sierpnia 1939 roku. Ciarki mnie przeszły, bo to nie wygląda na żart, a ja na wojnę nie zamierzam się wybierać. Było jak było. Na szczęście przyszedł wrzesień słoneczny jak marzenie. Biedne dzieciaki muszą znów iść do szkoły i nieco obłudnie deklarować, że cieszą się z rozpoczęcia roku szkolnego. Na szczęście życie płynie spokojnym nurtem jak gdyby nigdy nic. Zatem dzieciaki do szkół, literaci do piór.

Odnośnie literatów; już za chwilę w Gorzowie rozstrzygnie się Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Zdzisława Morawskiego. Oby pisarze i poeci naszego rodzimego Parnasu znaleźli godne miejsce w literaturze polskiej. Wierzę w gorzowskich pisarzy, wierzę w to środowisko, bo na naszych stepach azjatyżującej się nijakości intelektualnej i kulturowej już potrafili stworzyć oazę. Ileż uroku mają spotkania autorów i sympatyków naszego pisma promujące każdy kolejny numer Pegaza Lubuskiego. I nie są to wcale akademie „z okazji” i „ku czci”. To spotkania wrażliwych osób, dla których słowo „sztuka” jest tożsamy z ich życiem. A sztuka wysoka jest potrzebna. Wiem, że brzmi to banalnie, ale wobec deprecjacji standardów kultury – tym razem mam na myśli kulturę promowaną przez różne, niestety, często przypadkowe elity – trzeba koniecznie stworzyć matrycę, do których będą mogli odnosić się pozostali.

Kanon piękna i kryteria mentalne. To niezmiernie wysoko stawiane wymagania. Konkurs literacki, jak mało które przedsię-wzięcie, służy temu celowi. Jest też świetną okazją do odsiania ziarna od plewy. Nie ma potrzeby się oszukiwać, że poziom pisarstwa różnych autorów jest różny – delikatnie rzecz ujmując. Dlatego uważam za sprawę palącą odnajdywanie i stanowcze lansowanie tych artystów, których dzieło próbuje porządkować chaos tego świata, sprzeciwiając się barbarzyńcom najprzeróż-niejszej proveniencji. Podjęcie próby ogarnięcia rzeczywistości rozumem, określenia własnego miejsca na tym świecie i moty-wowanie odbiorcy, żeby „nie czekał na barbarzyńców”. Nie stać nas już dłużej na sceptycyzm dla rozumu. Owszem znajdujemy to u Baudelaire’a, z tą jednak uwagą, że *summa summarum* Bau-

c.d. na stronie 2

**Kazimierz Furman**

## PÓŁ

(komentarz czasu zastanego)

*Ograbiono mnie z życiorysu  
Jest mnie teraz tylko pół  
I spaceruje ta połowa krajem  
Który historia rozkradła  
Za cichą znową sprzymierzonych*

*Odbywały się jarmarczne harce nad jego mapą  
Bo trzeba zrobić coś z bękartem*

*Kreślił się globus wokół osi  
I nakreślano nowe mapy  
Skreślano naród po narodzie  
W niewolę szedł człowieczy umysł  
I ludzkie bytło  
Tryumf święcił cenzor z batem władzy  
Byłe pomiotło w oficerkach  
Nawet parobek  
Ważności mu dodawał nahaj w rękę*

*Kikuty domów miast i krajów  
Ogołoco z fundamentów  
W ich miejscach wzniosły się budowle  
Pomniki czasu zastanego  
Także wznosiły się kościoły  
I prawdy dwie  
Ta z trybun ociekała krwią  
Ta z ambon grzmiała jak grom z nieba  
Tylko człowiek któremu dano kromkę chleba  
Głupiał w pochodzie i w procesji*

*Szedł pod krzykliwym transparentem  
Na którym gwiazda sierp i młot*

*Dla jednych było to zwycięstwo  
Dla innych cele w więzieniach  
Lasy Syberii  
Wzgardy czas*

*A cenzor chciał mnie z tropu zbić  
Jak psa pachnidło  
Piastując tak wysoki urząd  
Pokreślił życie na czerwono  
Czerwiec październik marzec grudzień  
I kiedy ujrzał dziurę w całym  
Od razu na niej łapę kładł*

c.d. na stronie 2

delaire mimo kokieterijnej deklaracji, rozumem posługiwał się nieustannie i wyszło to na dobre jego poezji.

Może nieco nudzę tą kryteriologią, tęskno mi jednak do wielkiej polskiej poezji. Mądrej, wolnej od szamaństwa i fetyszyzmu. Poezji, która niesie przesłanie niekoniecznie na biało czerwonym tle, ale też niekoniecznie z różowym króliczkiem. Może warto subtelnie zakwestionować kilka pozornych *aksjomatów* naszej polskiej konstrukcji mentalnej? Że niebezpieczne? Ha! Oczywiście, że niebezpieczne! Lecz poeta na garnuszku panów tego świata staje się raczej wyrobnikiem niż artystą. To kwestia wyboru i smaku – sparafrazuję wieszczka. Pisarze sami wybierają los wyrobnika lub los artysty. Jakby nie patrzeć, określenie artysta brzmi o niebo lepiej. Przed nami Konkurs. Gdy uda się odkryć pisarza, niech zamilknie rodzimy czart zawiści. Gdy uda się odkryć pisarza, trzeba podać mu dłoń, podać wiele dłoni, niech rośnie. Marzy mi się wielka polska poezja wolna od zaściankowości i hreczkosiejstwa. Literatura polska mi się marzy, taka piękna, że przysłoni brzydotę pojedynczych wampirów oszalałych z nienawiści w imię „miłości”. Literatura, która pokaże ludziom pragnącym jasnej przyszłości, że jest nadzieja.

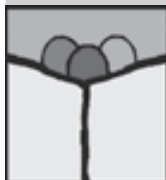
*Marek Grewling*

### Polecamy w numerze

- s. 1-2 Interesujący wstępniak Marka Grewlinga i poemat Kazimierza Furmana „Pół”, czyli komentarz zastanego czasu z 1989 roku
- s. 4-7 Sylwetki jurorów XIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Z. Morawskiego
- s. 8-18 W dziale „Premiery książek” omówienia i recenzje ostatnio wydanych pozycji autorów związanych z Gorzowem: Ireny Zielińskiej, Stanisławy Plewińskiej, Karola Graczyka, Dietera Ehrhardta i Z. Marka Piechockiego.
- s. 19 Debiut młodej poetki Alicji Łukasik z rekomendacją Karola Graczyka
- s. 20-21 Bogaty przegląd wiadomości literackich
- s. 22 Rozmaitości z interesującym felietonem Marka Grewlinga
- s. 23 Nowe wiersze poetów gorzowskich
- s. 24 Aforyzmy Jana Grossa

#### PEGAZ LUBUSKI

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP.  
Red. nac. Ireneusz K. Szmidt, z-ca red. nac. Beata P. Klary, sekretarz redakcji: Danuta Zielińska, współpraca: Krystyna Kamińska, zdjęcia: I. K. Szmidt, archiwum wydawcy i autorów, wydawcy: WAG „Arsenal”, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 95 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 957277070, informacja@wimbp.gorzow.pl  
Skład komputerowy: Daniel Besta 0 694 479 087.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

*dok. ze strony 1*

*A miał materii sto arszynów by ją załatać  
Uciekłem w dziennik do szuflady*

*Kiedy generał w noc przemówił  
Wsluchany w marsze i Chopina  
Myślałem co zagrałby Fryderyk  
Gdyby przebudził się nad ranem  
Dnia trzynastego*

*Mróz wtedy skrzypiał pod nogami  
Koksownik cieszył się znów wzięciem*

*Oswoiłem oczy na spotkanie z gazem  
Pojąłem ból zomowskiej palki  
Pamięć ćwiczyłem*

*Jeszcze przed chwilą słońce sierpnia  
Smagało plecy czekoladą  
Kobiety odsłoniły piersi  
Sportowcy powracali z Moskwy  
Z gestem Kozaka co świat obiegał*

*Nowe ustawy rzuciły naród na kolana  
I zapelniły się kościoły  
Dla kolan tam najlepsze miejsce  
I zapelniły się cmentarze  
Dla śmierci tam najlepsze miejsce  
Na wdowi żal był zapis prawny*

*Zima jest wasza wiosna nasza  
Taki uknuto wtedy slogan  
Lecz żaden czołg się nie przestraszył  
Karabin żaden*

*Gazety wojennego stanu  
Krzyczały do mnie tłustą czcionką  
Że cały naród się warcholi  
Więc uzbroiłem się w kamienie  
I z tym orężem toczyłem bitwę  
ze ślepowronem  
Ile to trwało już nie pomnę*

*Do stołu siedli towarzysze  
Przy nich podziemie – same krety  
I tak generał został panem  
Premierem świątek*

*Sejmowe ławy senat cały  
Partie koterie kluby unie  
Też chciały stolków  
Może i koryt  
Czas to pokazał w całej pełni*

*Dziś kiedy patrzę w płaski ekran  
Wciąż czarno-biały  
Spoglądam w przyszłość jako wróż  
By móc odgadnąć  
Czy kiedyś czarny i czerwony  
Podadzą sobie ręce*

*Pomiędzy hymnem i kadzidłem*

*(Rok 1989)*



Ulica Krzysztofa Kamila Baczyńskiego leży na Osiedlu Staszica usytuowanym na jednym z najwyższych spośród siedmiu wzgórz Gorzowa. Łączy przelotową ulicę doktora Karola Marcinkowskiego z ulicą hrabiego Aleksandra Fredry. Obie prowadzą do parku Słowiańskiego, ulica hrabiego do kompleksu sportowo-rekreacyjnego „Słowianka” z aqua-parkiem, lodowiskiem, kortami i kępielnią. Przy Baczyńskiego stoi, jako punkt orientacyjny, tzw. „granatowy pawilon” – pomyślany jako osiedlowy kombajn handlowo-usługowy ze sklepami, m.in. spożywczym, odzieżowym, „ciuchlandią”, z meblami, filią banku PKO BP i pocztą. Ale ten pawilon, to już adres Marcinkowskiego 90. Imion i nazwiska poety nie uswiadczyz na żadnej tabliczce informacyjnej. Nie stoi zresztą przy Jego ulicy żaden dom mieszkalny, jedynie u dołu przychodnia i przedszkole, a od góry szereg parterowych sklepików. Okoliczni mieszkańcy Osiedla Staszica zwą go „pasażem Baczyńskiego” i chętnie po nim spacerują z dziećmi. Dziwię się szanownej Komisji Nazewnictwej, że nie stać jej było na sensowniejszy przydział dla K. K. Baczyńskiego.

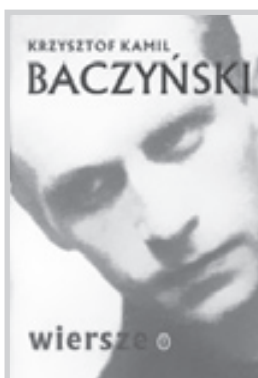
Imię patrona tej gorzowskiej ulicy – wybitnego, młodego poety generacji Kolumbów, nierozzerwalnie spłotło się z tragedią Warszawy czasu II wojny światowej i walką podziemną jej dzieci z faszystowskim okupantem. Walce tej Baczyński poświęcił najpiękniejsze strofy i własną krew w trzecim dniu Powstania Warszawskiego. Debiutował jako poeta jeszcze przed wojną. W czasie wojny publikował pod pseudonimem Jan Bugaj. Jego „Elegię o chłopcu polskim” zna na pamięć niemal każdy, kto po latach administracyjnych restrykcji nałożonych na pamięć po byłych żołnierzach AK, dopiero w latach sześćdziesiątych XX wieku mógł rozczytywać się dowoli w wierszach Krzysztofa Kamila, kiedy to już bez zapisów cenzorskich znów zaczęły być publikowane w książkach, w prasie literackiej, antologiach i wypisach szkolnych.

*Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drzą,  
haftowali cię, syneczku, smutne oczy rudą krwią,  
malowali krajobrazy w żółte ściegi pozóg,  
wyszywali wisielcami drzew płynące morze.*

*Wyuczili cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,  
gdys jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.  
Odchowali cię, w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,  
przemierzyłeś po omacku najwstydlivsze z ludzkich dróg.*

*I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,  
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut – zło.  
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.  
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?*

(20. III. 1944 – „Z głową na karabinie”)



Krzysztof Kamil Baczyński należał do tego pokolenia twórców, którego rozwój duchowy poprzez wojnę uległ gwałtownemu przyspieszeniu. Wojna bowiem narzuciła własne reguły, nieprzystające do młodzieńczej wrażliwości. Na szczęście jednak Baczyński ocalał w sobie liryzm, który stanowi o bogactwie poety, ale także o bogactwie człowieczeństwa w ogóle. Oto w grudniu 1942 roku, w ten straszny czas napisał precudne strofy wiersza „Narzeczone”. Czytelnik zostaje przeniesiony z burej, głodnej Warszawy, ze świata pozbawionego wszelkiej nadziei, w jakiś arkadyjski raj miłości. Pamiętamy, że jeszcze nie nastąpił żaden pozytywny przełom wojny, a Niemcy głosili, że „*Deutschland sigt an alle Fronten*” – Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach. Poeta zaś wyprowadza czytelnika z tego piekła w zupełnie inne światy:

*Ona stojąc w jeziorze ręce obraca do góry  
i z nich unoszą się z wolna kwiaty i białe motyle,  
kiedy pod kolanami w wodzie mkną ciche chmury,  
niebo się szybko przetacza. Ona się fali przychyła  
i bierze w dłoń otwartą jak w pyszczyk różowy kuny  
i niebieskie łódzki wody, które się prężą jak struny  
i grają cicho i miękko:*

*„W kwiaty nas zamień panienko”*

*Więc ręce zwraca w górę i krople wypryska wysoko,  
czyni z nich liście i jabłka, węże i srebrne jaszczurki;  
zanim opadną znowu, jeszcze podobne są głogom,  
co kwitną. Potem, gdy spadną, przemkną w nich szybko chmury.  
Ona się zwolna zwróci unosząc z sobą odbicie,  
nie wiedząc jeszcze, czy w sobie, czy w wodnym obrazie*

*prawdziwa,*

*patrzy w kryształ powietrza i widzi dalekie życie,  
raz zapyłone traktaty, to znowu potoków grzywę.  
Nie wie i jeszcze czeka. Wtedy na brzegu w kotlinie,  
rycerz ogromny przystaje i jabłko wyciąga na dłoni,  
błękitne jak kropla nieba. Ona ku niemu płynie,  
powietrze w krąg rozgarniając, co jak pod skrzydłem dzwoni.  
Potem ich las zamyka. I tylko drzewa dojrzałe  
Tak samo stoją w głębinie, jakby najmocniej kochały.*

(2 XII 42 – „Ty jesteś moje imię”)

Sierpień – wrzesień, kolejna rocznica Powstania Warszawskiego. Defilady, akademie, przemówienia. Czasem udaje się dostrzec głównych bohaterów tamtych dni, dzisiaj już ostatnich ocalałych z pokolenia powstańców. Stali się tłem jakiejś poprawności politycznej. Milczą, za nich przemawiają urzędnicy i politycy. Na pewno zrobią to dobrze. Wszak dla własnego dobra. Szkoda. A może należałoby oddać głos poetom. Należy się to Tadeuszowi Gajcemu, Włodzimierzowi Pietrzakowi, a zwłaszcza patronowi jednej z gorzowskich ulic Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu.

**Marek Grewling i Ireneusz K. Szmidt**



Trwa intensywne czytanie tekstów nadesłanych na XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Zdzisława Morawskiego. Czytają, oczywiście, jurorzy. W tym roku aeropag ekspertów stanowią Marek Wawrzkiwicz, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Stefan Pastuszewski i Leszek Żuliński. Zanim 16 września podejmą decyzję o przyznaniu nagród i wyróżnień, poznamy ich bliżej.

## Marek Wawrzkiwicz



Urodzony w 1937 r. w Warszawie – wybitny poeta, tłumacz, antologista, krytyk literacki i teatralny, prezes Związku Literatów Polskich – opublikował przeszło 30 książek. Wśród nich zbiory wierszy: *Malowanie na piasku* (1960), *Orzech i nimfa* (1963), *Ultima Thule* (1967), *Jeszcze dalej* (1968), *Przed sobą* (1973), *Serce przepiórki* (1977), *Wybór wierszy* (1982), *Aż tak* (1984), *O miłości* (1990), *Docno popładne* (wybór wierszy w jęz. macedońskim, Skopje 1999), *Późne popołudnie* (2001), *Każda*

*rzeka nazywa się Styks* (2002, 2003), *„Eliada” i inne wiersze* (2003), *Smutna pogoda* (2003), *Coraz cieńsza nić* (2005), *Dwanaście listów* (2005); antologie: poezji macedońskiej *Czerwone winoroślą* (1996), poezji patriotycznej *Od Kochanowskiego do Szymborskiej* (1997), polskiej poezji erotycznej *Noc miłosna* (1998), poetów St. Petersburga *Pamięć* (2003). Jego wiersze, opowiadania, przekłady ukazały się w 30 antologiach polskich i zagranicznych.

Wydał ponadto zbiór szkiców teatralnych *Sceny wielkie i średnie* (1970), powieść *Cztery miesiące* (1994), a z książek przekładowych wybór wierszy E. Jewtuszenki *Kradzione jabłka*, wybór wierszy M. Matewskiego *Zrównanie dnia z nocą*, powieść W. Bykaua *Sotnikow*, *Krótkie opowiadania o zwierzętach* S. Obrazcowa, *Bajki dla dzieci* K. Czukowskiego, wybór wierszy A. Popovskiego *List wiarołomny*.

Będąc wpięty związany z łódzkimi pismami: tygodnikiem „Odgłosy” (już od czasu studiów na UŁ) i periodykiem Wydawnictwa Łódzkiego „Osnową”, współpracował też z „Nową Kulturą”, „Współczesnością”. Po przeniesieniu się w 1974 r. do Warszawy paleta tytułów pism poszerzyła się, co później stało się szczególnie istotne, gdy w latach 1982-1986 został korespondentem polskiej prasy literackiej w Moskwie.

Był redaktorem naczelnym miesięczników „Nowy Wyraz” (1979-1982) i „Poezja” (1986-1989) oraz tygodnika „Kobieta i Życie” (1997-2000). W 2000 r. został wybrany prezesem Oddziału Warszawskiego, a w 2003 – także Zarządu Głównego ZLP. Organizator międzynarodowych Warszawskich Jesieni Poezji. Odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta. Laureat licznych konkursów literackich, a także prestiżowych nagród – ostatnio im. C. K. Norwida za tomy poetyckie *Coraz cieńsza nić* i *Dwanaście listów*.

Wiele podróżował: po Europie, Azji (Indiach, Chinach, Wietnamie). Jego utwory tłumaczono m.in. na angielski, niemiecki, rosyjski, ukraiński, czeski, słowacki, arabski, bułgarski, litewski, macedoński (we wspomnianym odrębnym wydaniu książkowym), litewski, węgierski, rumuński, albański, gruziński, ormiański, arabski, jakucki, chiński, wietnamski.

Pisali o nim wnikliwie krytycy, np. Jan Pieszczachowicz, Krzysztof Mętrak, Michał Sprusiński, Maciej Chrzanowski, Stefan Melkowski, Jerzy Poradecki, Piotr Kunczewicz, Andrzej Zieniewicz, Maciej Krasowski, Waclaw Sadkowski, Marian Kisiel, Leszek Żuliński, Krzysztof Gąsiorowski, Jan Tulik, Stefan Jurkowski.

To imponujący i znaczący dorobek, zdominowany osiągnięciami poetyckimi. Doceniony przez krytyków, tłumaczy. Znany też szerszej

publiczności dzięki nierzadkim prezentacjom w mediach, jakie w obecnym czasie większość poetów spotykają wyjątkowo. Oto wkrótce po ukazaniu się *Dwanaście listów* warszawska „Jedynka” 18 listopada 2005 r. przedstawiła ten tom, nagrodzony przez staromiejski Klub Księgarza, w doborowej obsadzie aktorskiej (interpretacji Doroty Landowskiej, Joanny Trzepiecińskiej, Krzysztofa Gosztyły, Krzysztofa Kołbasiuka, Andrzeja Ferency i Mariusza Benoita) w audycji reżyserowanej przez Janusza Kukulę.

Po przeszło 50. latach od debiutu na antenie Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, po doświadczeniach wyniesionych z *Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”* i po licznych, wymienionych wyżej, tomach oddał Marek Wawrzkiwicz do rąk czytelników kolejny zbiór. O wymownym tytule i będący w doborze wierszy nawiązaniem do obydwu poprzednich (*Coraz cieńszej nici* i *Dwanaście listów*), które się od razu tak mocno w jego dorobku wyeksponowały. I choć niewielki objętościowo, to ujmujący syntetycznie całą niemal wykładnię ważnych dla poety prawd. Ugruntowanych w świadomości jego pokolenia, ale też ze znamienym osobistym dopowiedzeniem – w posępnej, konsekwentnie, tonacji, stosownie do znaczeniowej aury tytułu.

Począwszy od prawdy, tej najbardziej dojmującej i gorzkiej, o bezsensie zatracania się w historii nas – „przeżytków bezpowrotnie minionych epok”, tym bardziej gdy „nikt nas nie używa, / Nawet jako mgliście migocących / Latarek z gasnącą baterią”. Do prawd: o przytłaczającej, ale i zarazem o c a l a j a c e j samoświadomości wrażliwego człowieka samotności; to nic, że szamocącej się w beznadziei „zadufanych pytań” i „nieuleczalnych odpowiedzi”. O względności i wskutek tego zwodniczości idei, w imię których walcząc, trzeba było w dziejach wojen wielokrotnie – do tego jak na ironię – „p i ę k n i e ginąć w straceńczej szarzy albo w zastrzelonym samolocie” [podkr. – S.N.]. O kojącej szaleństwu zmagani w porywach „namiętności i wyrachowania” czułości natury,

„Błogosławionej ciemnością / I szmerem odległego strumienia”. O miłości najczystszej i najgłębiej nas wzbogacającej idei, rodzącej z „rozmowy ciała [...] zasłuchanych w oczekiwaniu” coraz to nową nadzieję. O potrzebie kontaktu z bliskimi, przyjaciółmi, dającymi duchowe oparcie, zatrzymanie czasu w kadrze pięknego złudzenia, ale i potrzebie odartej ze wszelkiej obłudny rozmowy z samym sobą, autorefleksji, z której te wiersze wynikły przede wszystkim, „porządkującej” chaos doznań.

W puencie-przesłaniu zachowuje moc – jak sądzę, również w odniesieniu do tego tomu – spostrzeżenie Mariana Kisiela z lektury *Późnego popołudnia*, że „doświadczenie skończoności jest przywróceniem powagi sprawom ostatecznym”, że otrząśnięcie się ze złudzeń czyni nas wolnymi, a „śmierć wyzwala ze złudzenia życia”.

Filozoficzna, stoicka mądrość określa w dużym stopniu rodzaj i charakter lirycznej wypowiedzi Marka Wawrzkiwicza, jej spokojny obrazowo-refleksyjny tok, harmonijne łączenie kreacji rzeczywistości z fikcją, faktów historycznych z apokryfami w sugestywny ciąg czy też splot prawdopodobnych zdarzeń, uaoeczających trwałość przymiotów i właściwości natury ludzkiej. Powodowanej tyleż namiętnościami występku, co i wartościami budującymi życiorodny ład.

Poeta odwołuje się do formy listu: szczerego, intymnego wyznania i równocześnie poprzez ironię, humor kreuje dystans podmiotu lirycznego, umiejętnie wciągając nas – jak trafnie zauważył Stefan Jurkowski w związku z dwoma wcześniejszymi zbiorami – w „fascynującą poetycką grę”.

Wszelako harmonia i stateczność częstokroć są tu przelamywane dysonansami zróżnicowanej wersyfikacji, urozmaiconą gamą strof, sąsiedztwem wierszy dłuższych i krótkich, będących w końcowej części jakby oszczędnym rzeźbieniem wyrazów w kamieniu. Bo przecież, by powiedzieć wiele, nie trzeba ich dużo.

*Stanisław Nyczaj*





**Marek  
Wawrzkiwicz**

## WIERSZE ZNALEZIONE

*W zakamarkach szuflad,  
W dawno nieotwieranych książkach,  
Obok kosza na śmiecie, na kopcierce  
Z urzędowym listem znalazłem  
Strzępki wierszy, pytań zadanych światu,  
Ale również sobie.*

*Po co je pisałem, skoro nie zostały w uchu,  
Oku, sercu i w mózgu choć tego  
Najmniej się mogłem spodziewać?*

*Komu przeczytałem ten wiersz, gdzie  
Zdarzył się ten krajobraz,  
Ta burza w szklance wody,  
Ten przelotny deszcz  
I ten nocny piasek w oczach?*

*Kiedy to się stało?  
Kim była ta dziewczyna,  
Którą mogłem pokochać?  
Co znaczą te sprawy, dla których  
Nie poszedłem na spotkanie?  
Jaki był ten spazm, rozpacz, otwarcie oczu,  
Widok obcego miasta, jeleń  
Biegący leśną ścieżką, zasypianie?*

*Po co pisałem, po co piszemy,  
Skoro nam to przeszkadza  
W oglądaniu seriali telewizyjnych  
Albo osłupiałych nocy?  
Po co jesteśmy my,  
Przeżytki bezpowrotnie minionych epok,  
Skoro nikt nas nie używa,  
Nawet jako mgliszcie migoczących  
Latarek z gasnącą baterią?*

*Trupki wierszy, zwłoki zadufanych pytań,  
Nieuleczalne odpowiedzi.*

*Może czyta je Pan Bóg, on ma wiele czasu,  
Jeśli nie ogląda seriali w telewizji Polsat.*

*Uwierzmy, czym prędzej uwierzmy  
w Pana Boga.*

*Niech będzie tym czytelnikiem,  
Który w nas, samotnych,  
Jeszcze trochę wierzy.*

marzec, 2006 r.

## Andrzej Krzysztof Waśkiewicz



Poeta, krytyk literacki, edytor, dziennikarz, urodził się 22 czerwca 1941 r. w Warszawie. Ukończył polonistykę na UAM w Poznaniu. Debiutował jako poeta wierszem w „Zarzewiu” w 1961 r., jako krytyk we „Współczesności” w 1962 r. Pierwszy zbiór poetycki wydał w 1963 r. [„Wstępowanie”], pierwszą książkę krytyczną w 1973 r. [„Rygor i marzenie. (Szkice o poetach trzech awangard)”]. Autor ponad 30 książek, zbiorów wierszy [wybory: „Horyzont zdarzeń. Cztery poematy”, 1999; „Widmowe światło wspólnoty (wiersze 1962-2001)”, 2001]; zbiorów prac krytycznych [m.in. „Formy obecności «nieobecnego pokolenia»”, 1978; „Ósma dekada. O świadomości poetyckiej «nowych roczników»”, 1982; „W kręgu «Zwrotnicy». Studia i szkice z dziejów krakowskiej Awangardy”, 1983; „Historia, poezja, los. O nowej poezji polskiej”, 2005], prac bibliograficznych, publicystycznych, popularnych szkiców literackich. Edytor wierszy Peipera, Sterna, Mili Elin, autor licznych wyborów i antologii, a także prac zbiorowych (m.in. poświęconych prasie studenckiej). Wraz z Jerzym Leszinem-Koperskim był redaktorem serii poetyckich (m.in. „Generacje”, „Pokolenie, które wstępuje”, „Antologia nowej poezji polskiej”) antologii (m.in. serii „Debiuty poetyckie”) i wydawnictw dokumentacyjnych.

Związany z Orientacją Poetycką „Hybrydy”, jest autorem koncepcji poezji formulistycznej. Pojedyncze wiersze były tłumaczone na język arabski, białoruski, bułgarski, niemiecki, rosyjski, ukraiński, włoski i publikowane w czasopiśmie i antologiach. Pracował w redakcjach „Gazety Chłopskiej”, „Nadodrza” i w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Członek kolegium redakcyjnego „Orientacji” i „Młodej Sztuki”, zastępca red. naczelnego „Integracji”, red. naczelny „Gdańskiego Rocznika Kulturalnego” i „Autografu”. Stały felietonista „Głosu Wybrzeża”.

Laureat nagród „Faktów”, „Pióra”, Międzynarodowego Festiwalu Poetyckiego w Poznaniu, im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruno, im. Klemensa Janickiego, Międzynarodowego Dnia Poezji 2006.

Po skończeniu studiów, do połowy lat 70., mieszkał w Zielonej Górze, były inicjatorem i krytykiem wielu poczyniń w raczkującym wtedy ruchu literackim na ziemi lubuskiej. Także przyjeżdżał do Gorzowa. Potem przeprowadził się do Gdańska, gdzie nadal mieszka. Jest przewodniczącym Komisji Kwalifikacyjnej ZG ZLP.



**Andrzej K. Waśkiewicz**  
**MORENA, ZIMA**  
(fragmenty)

\*

*okno otwarte w kamieniołom ciemności  
deszcz przeszedł lśni jeszcze asfalt i mokre  
gałęzie drzew*

*rzeczywiste; jak ze snu*

*są; jeszcze*

c.d. na stronie 6

dok. ze strony 5

\*

*zmienny we zmiennym pośród dryfujących  
powidoków zdarta skóra  
świata jak on nagi rzeczywisty  
jak ze snu*

*i spojrzaleś  
w głąb dołu wapna  
unosił się płynął  
pośród obłoków dół  
po ekshumowanych wyludniona  
planeta*

*wiatr ucichł i drzewa stoją nieruchome  
światło latarni odbija się w drobnych kropelkach  
drżą i spadają  
jak gwiazdy*

\*

*sny na jawie ciężkie  
lotniskowce chmur nad strzaskanymi  
płytkami imperiów  
kończy się wiek i milenium*

*głosy dawno zmarłych  
tulają się po niewypowiedzianych zdaniach*

\*

*łgniesz  
do widoków pospiesznych pieszsz  
inskrpcje na smugach dymu*

*obłoki płyną ołowianym niebem  
i wstaje ciężki świt nad kontynentem*

*szturmówki wieją nad twarzami które  
z tej odległości są nie do poznania*

*ci co zamazli sami sobie winni  
już nawet nieprzydatni na nagłówki gazet*

*(zamarzło dwustu dwudziestu potem  
porzuciłem gazety)*

\*

*królestwo konieczności: spadł śnieg  
i stopniał  
teraz znowu pada  
przykrywa zrudziałą trawę zmarznięte kałuże  
biały – póki co – całun*

\*

*wciąż śnią się śniegi w narodowych barwach  
głuchy i ślepy gniew wydziedziczonych*

*strzaskany pomnik płomiennego serca  
znowu się wznosi na placu przed bankiem*

*w widmowym mieście*

\*

*zmienny we zmiennym ruchome  
centrum świata*

*nagie  
bezsenne oko*

Andrzej K. Waśkiewicz

## Stefan Pastuszewski



Poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, wydawca. Urodzony 19 sierpnia 1949 r. w Bydgoszczy, ukończył mechanikę w WSI w Bydgoszczy, pedagogikę w UMK i polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim.

Pracował jako dziennikarz w bydgoskiej prasie: „Ilustrowanym Kurierze Polskim” (1972 - 1977), „Wodniaku Bydgoskim” (1977 - 1980, redaktor naczelny), tygodniku „Kujawy” (1979 - 1981, kierownik działu kulturalnego) i czasopiśmie „Wolne Związki” (1980 - 1981, zastępca redaktora naczelnego). Podczas stanu wojennego został internowany 14 grudnia 1981 r. W latach 80. XX w. był kilkakrotnie aresztowany z powodów politycznych i skazany. W okresie tym nie mógł też uzyskać stałego zatrudnienia. Później otrzymał pracę w UAM w Poznaniu (1983 - 1992). Był również nauczycielem języka polskiego w bydgoskich szkołach średnich (1990 - 1992). W latach 1991 - 1993 był posłem na Sejm RP, a w latach 1990 - 2002 radnym miejskim. Był też wiceprezydentem Bydgoszczy (1994 - 1998) oraz wiceprzewodniczącym sejmiku samorządowego (1990 - 1994).

W 1987 r. założył Instytut Wydawniczy „Świadek”, a w 1998 r. miesięcznik literacki „Akant”, w którym jest sekretarzem redakcji.

Debiutował w „Politechniku” w 1971 roku.

Wydał następujące zbiory wierszy: *Druga gałąź* (Staromiejski Dom Kultury, 1977), *Dzień, w którym przyszedł* (WRZZ, 1977), *Odloty* (ZLP, 1978), *Trzeba iść* (K-PTK, 1989), *Imię moje* (Pomorskie Wydawnictwo Prasowe, 1980), *Listy do siebie* (Wydawnictwo Morskie, 1981), *Kuszenie Ikara* (LSW, 1981), *Biały pokój* (Młodzieżowa Agencja Kulturalna, 1981), *Czas ostateczny* (Wydawnictwo „Filip”, 1983), *Wiersze* (Młodzieżowa Oficyna Literacka, 1985), *Róża i miecz* (Wydawnictwo „Somix”, 1991), *Smak malin i czereśni* (IW „Świadek”, 1993), *Kobiety są* (IW „Świadek”, 1993), *Zachłanność* (K-PTK, 1994), *Listy do Pani* (IW „Świadek”, 1995), *Przepaść w brzuchu* (IW „Świadek”, 1996), *Wiersze wybrane* (IW „Świadek”, 1997), *Sonety i poematy* (Agencja Wydawnicza „Gens”, 1999), *Po przelomie* (IW „Świadek”, 2000), *Pamiętki inflanckie* (IW „Świadek”, 2003). Jest autorem powieści *Późne majowe popołudnie* (IW „Świadek”, 1995) oraz zbiorów opowiadań: *Dziwne sprawy* (LSW, 1980), *Szczególny zbieg okoliczności* (IW „Świadek”, 1994), *Miasto* (IW „Świadek”, 1996), *Nie-do-opowiadania* (IW „Świadek”, 1997), *Karły* (IW „Świadek”, 2000), *Dwanaście miłosnych miesięcy* (IW „Świadek”, 2001), *Teraz Polska* (IW „Świadek”, 2002), *Dwanaście pań i panów w lusterkach* (IW „Świadek”, 2003).

Tłumaczy z bułgarskiego, niemieckiego, rosyjskiego, serbskiego i ukraińskiego.

Animator kultury, działacz społeczny i polityczny. Prowadzi badania naukowe w zakresie historii oraz literaturoznawstwa.

Laureat XVII Ogólnopolskiego Turnieju Poezji Społecznie Zaangażowanej „Czerwonej Róży” (1976), nagrody „Bydgoskiego Informatora Kulturalnego” (1996), Nagrody Ryszarda Miłczewskiego-Bruno w Poznaniu (2001). W 2003 r. zdobył tytuł „Artysty Roku” w plebiscycie „Gazety Wyborczej (Bydgoszcz)”. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Był członkiem - założycielem Grupy Faktu Poetyckiego „Parkan” (1975 - 1981). W latach 1971 - 1980 należał do Koła Młodych ZLP.



## Stefan Pastuszewski

\* \* \*

*a my  
wygnańcy  
w krzaki  
w zbutwiałe deski  
w furtki kosmosu między pokrzywami*

*to nie kto inny tylko zachłanny  
Pan Bóg chciał  
nas  
pięknych z miłości  
zobaczyć  
dłonią swej wszechobecności*

*i aby tak się stało  
popsuł zamki do nerek naszych osobności  
tłumacząc w ten sposób  
co to znaczy kiedykolwiek  
i gdziekolwiek  
czyli zawsze wszędzie*

*tak związawszy nam dłonie  
oddal w pacht zieleni  
ta trawa nas obrośla  
zaobraczkowała*

2 czerwca 2007 r.

## E io ti vederò...

*A ja Cię widzę jak Ty włosy myjesz...  
Zdejmujesz szaty, odziewasz się pięknem:  
Wiatr srebrnym szalem otula Twą szyję.  
Promienie słońca szyją Ci sukienkę.*

*Widzę Cię pełną jak dojrzały owoc.  
Widzę Cię krwią mą. Widzę całym ciałem.  
Przypływasz, widzę, już przy brzegu, obok...  
Choć nigdy Ciebie, Pani, nie widziałem.*

*W pracowniach myśli płonące obrazy,  
W kotłach pragnienia parujący wrzątek,  
Wewnątrz, nie zewnątrz jest szczęścia początek.*

*Chcesz być szczęśliwy, więc odważ się marzyć.  
To co najlepsze zbierz w sobie i okaż,  
A wtedy przyjdzie Ona i pokocha.*

## Leszek Żuliński

### O sobie

Urodziłem się w 1949 roku w Strzelcach Opolskich. W Warszawie zamieszkałem w 1967 roku; w 1973 roku ukończyłem studia polonistyczne na UW.

Debiutowałem na łamach prasy jako poeta w 1971 roku, a jako krytyk – w rok później. Moje książkowe debiuty to: tomik wierszy „Z gwiazdą w oku” (1975) i zbiór szkiców „Sztuka wyboru” (1979).

Wydałem dotychczas trzy tomiki poetyckie oraz trzynaście książek krytycznoliterackich. Ta ostatnia dziedziła zdominowała moją aktywność pisarską; uprawiam także publicystykę kulturalną i felietonistykę (stałe felietony prowadziłem w pismach „Fakty”, „Sztuka dla Dziecka” oraz w „Aneksie”, dodatku kulturalnym do „Trybuny”). Ponadto mam na koncie setki wystąpień radiowych, dziesiątki – telewizyjnych, wstępy lub posłowania do wielu książek innych pisarzy, antologie i prace edytorskie.

Pracę zawodową rozpocząłem w roku 1973 w ruchu edytorskim (KAW oraz LSW). Potem prowadziłem działy literackie w tygodnikach „Tu i teraz” (1982-1985), „Kultura” (1986-1987) i „Wiadomości Kulturalne” (1994-1998); byłem sekretarzem redakcji miesięcznika „Literatura” (1987-1994), a od 2000 roku pracuję w TVP S.A.

Jurorowałem w wielu konkursach literackich; przez wiele lat byłem bliskim współpracownikiem Staromiejskiego Domu Kultury; od 1985 roku zasiadam w kapitule Warszawskiej Premiery Literackiej. Od 1980 roku jestem członkiem Związku Literatów Polskich, a od grudnia 2003 w ZG ZLP pełnię funkcję skarbnika oraz wiceprzewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej.

Z ważniejszych nagród literackich: Nagroda Pióra Czerwonej Róży (1985), Nagroda Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu (1989), Nagroda im. Emila Granata (1993), Nagroda im. Klemensa Janickiego (1995) oraz Wielki Laur XII Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogorza w Dziedzinie Krytyki (2002).

Moje „oficjalne” biografie można znaleźć m.in. w: „Kto jest kim w Polsce”, edycja 3, Interpress, Warszawa 1993; Lesław M. Bartelski „Polscy pisarze współcześni 1939-1991”, PWN, Warszawa 1995; Piotr Kuncewicz „Leksykon polskich pisarzy współczesnych”, t. II, Graf-Punkt, Warszawa 1995; Elżbieta Ciborska „Leksykon polskiego dziennikarstwa”, DW Elipsa, Warszawa 2000.



## Leszek Żuliński EPICENTRUM

*Wietrzyłem to trzęsienie ziemi,  
czułem, że ono nadchodzi,  
że zbliża się, nasiąkając przed wybuchem  
cierpkim, różowym granatem...*

*...nagle Małgorzata poderwała się  
i wybiegła na kilka lat.*

*Odzyskałem przytomność na bezludnej wyspie,  
w powietrzu wisiała pustka i kosmiczny  
pył katastrofy,  
przeszłość i przyszłość  
stały w martwym punkcie.*

*Kiedy wróciła, nie poznałem jej,  
a ona w miejscu po mnie  
znalazła tylko krater  
po wybuchu wiersza –*

*epicentrum samowyniszczającej  
miłości.*

Jako 17. pozycja serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego ukazała się trzecia książka Ireny ZIELIŃSKIEJ, poetki z Międzyrzecza. Znany i ceniony poeta i krytyk z Zielonej Góry – Czesław Sobkowiak z tej okazji przyjrzał się wszystkim dotychczas wydanym książkom Ireny ZIELIŃSKIEJ.

## „Mam w sobie teraz cud układania słów”

Czesław Sobkowiak

Tekst omawiający poezję Ireny ZIELIŃSKIEJ można byłoby opatrzyć różnorodnymi tytułami, zwłaszcza takimi, które sygnalizowałyby zawarte w niej obszary cierpienia, albowiem natychmiast naprowadzałyby na właściwy trop. Poniekąd sięgnąłem do innej zupełnie beczki, nie na zasadzie przekory, ale w oparciu o dostrzeżoną logikę sytuacji.

W zasadzie każdy artysta, a więc i poeta, cierpi. W cierpieniu i wynikających zeń przeżyciach tkwi źródło twórczości. W tym przypadku w ogóle źródło podjęcia twórczości. Ono samo zresztą różnorakie przybiera postaci. Ale nie miejsce teraz się nad tym rozwodzić. To, że od pierwszego zbiorku „Oceania irenejska” (1998), w każdym czytanim wierszu mamy do czynienia z naprawdę wielorakimi obrazami losu, a też od razu warto podkreślić, że zarazem wnikliwymi jego prezentacjami, chyba nie ulega żadnej wątpliwości. Nie jest nawet przesadne twierdzenie Waśkiewicza, iż podmiotowi poetyckiemu „świat jawi się jako piekło”. Jak inaczej może się jawić, jeśli tenże niemal ubezwłasnowolnia, jeśli jedynym dostępnym obrazem własnego ja jest obraz kruchości istnienia, samotność, w której doznania egzystencji zdają się nie mieć żadnej perspektywy. Tak właśnie dosłownie jest.

Z drugiej strony jest jednak tak, że podmiot, a ściślej mówiąc poetka, zarazem nie chce się poddawać, godzić się na bycie skazaną, ale, tak czy inaczej, ten determinujący ją paradygmat od początku jest silnie obecny. Jej życie to zmaganie się z życiem. Tu nie ma miejsca na codzienną łagodność ani zwyczajność. Rzeczywistość jest chropawa, tyleż realna co senna, fantasmagoryczna. Za każdym razem pełna ostrych impulsów. Nie da się więc mówić ściśszonym głosem. Skala napięć, doświadczeń, które podmiot obejmują nie pozwala na to.

Jeśli jednak, co poetka zauważa sarkastycznie, nie w pełni, zwyyczajnie, normalnie jak wszyscy inni obok ludzie, da się żyć, to *trzeba czymkolwiek żyć / chociażby naftaliną / i lawendą*. Zarazem wykrzyzczyć swoje ja, swoje życie, myśli, skojarzenia, odczucia, wykrzyzczyć całą ostrość podmiotowej sytuacji nawet za cenę rezygnacji z klarownej formy. W pewnym sensie musi żyć własnym cierpieniem, odmiennością własnego losu, włączając z konieczności w obszar osobistego doświadczenia jego przejawy i realnie bądź subiektywnie postrzegane przebiegi. Tak to zresztą czyni Irena ZIELIŃSKA także w swoim drugim tomie wierszy pt. „Naga rzeka” (WAG „Arsenal”, Gorzów 2003, wyróżnienie dyplomem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najpiękniej wydaną książkę), i byłoby dziwne, gdyby przyjęła inną optykę, taką która musiałaby okazać się zupełnie nieprawdziwa i wskazywać na samookłamywanie się, na zastępowanie udreki ułudą, nie, to nie jest możliwe, nie powinno być możliwe, w końcu nie takie rzeczy natarczywie dopominają się wyrażenia, gdy na pierwszy plan zawsze wychodzi lęk, poczucie zagrożenia, osaczenia i temu podobne, jak np.: *Jestem blada / Mam oczy ze strachu za wielkie / Coś jakby dusza / we mnie chłodnieje*. Przyznam, że nie sposób nie zwracać uwagi za każdym razem na dotkliwość jej przeżyć, ocierających się o dezintegrację ciała i osobowości np.: *lecę postrzępiona w powidokową przestrzeń / ręce się odlepiły od ciała, trzepocą / nagięte i pojękujące jak / czarne motyle*

*zastygłe nagle w krwioobiegu*. Jest to zapis stanu bezwyjściowego osaczenia, kiedy świat jest *Jak u Hitchcocka* koszmarny, absurdalny, *dziobiący mnie, a wszystkie barwy / przechodzą etap / śmierci klinicznej*. Odmawia sobie poetka atrybutów ludzkiego bytowania, bo swoje życie widzi raczej jako *owadzi żywot*, postępującą degradację. Regres.

W innym wierszu wyraźnie jest to tylko wegetowanie „w pułapce”, na poziomie – powiedzmy – najniższym z możliwych, czyli „robali”, które *zjadają łapczywie / moje sny śnią mi się*. Nie dosyć tego, nie obywa się też poetka bez egzaltowanej w jakimś stopniu, ale na pewno nie dającej się uniknąć, antycypacji własnej śmierci. W końcu tej alternatywy w sytuacjach granicznych, jak to określiła w wierszu „Na krawędzi” nie wyklucza, więc pisze: *Kiedy umrę / nie nieście mi kwiatów / Martwe oczy zapachu / nie widzą*.

Zauważyć też wypada, iż mamy tu do czynienia, jakby nie patrzeć, ze sporą dawką zaprezentowanego negatywnego doświadczenia, ale i towarzyszącego mu aktywizmu, gdy idzie o wytrwałe wyrażanie własnego ja, własnych przeżyć. To, czym podmiot jest obciążony i to, co go obciąża, nie zostaje kierowane tylko ku wnętrzu, by – powiedzmy – w nim się zagnieżdżało, motywując do bierności, pasywności, ale silnie determinuje do wykrzyczenia własnej prawdy, wyrzucenia jej na zewnątrz. Jak w odruchu obronnym.

Można rzec, że także na przykładzie poezji Ireny ZIELIŃSKIEJ wręcz detalicznie widać, jaką ekspresjonizm ma swoją genezę – w poczuciu mniej lub więcej totalnego zagrożenia. Poetka krzyczy, chce zwrócić na siebie uwagę, a w ten sposób ustalić własne miejsce, nie poddać się. Tak więc ustanawia krąg własnej enklawy, w której jej dramat może się rozegrać, zaistnieć, mieć przestrzeń i punkty odniesienia. Te punkty potrzebne są podczas nawiązywania elementarnego kontaktu z rzeczywistością sensualną i społeczną. Życie pod presją nierozwiązywalnych problemów jest nie do wyobrażenia, nie byłoby możliwe. A tu, owszem, dokonywane są wybory obrazów, które odnoszą się poprzez zawarte w nich podobieństwo sytuacji do sytuacji jej osobistej, z nimi jakby wchodzi w kontakt współczucia, co już znamionuje mimo wszystko przekraczanie granic własnej katastrofy, jak np. w wierszu pt. „Święty żebrak”. Tu, jak i w innych przypadkach, da się dostrzec projekcję własnego losu na przedstawiony obraz, poniekąd podmiot jest tym „żebrakiem”, ale jest też przerażenie, a więc odruch niezgody na taki los. Cudzy, a zarazem własny w domyśle. Nie ma w tym obrazie ani cienia fascynacji, ale rozpoznanie podobieństwa. Podobnie rzecz ma się w wierszu przedstawiającym „Krzyk” Muncha, który traktuje jak swój.

Innym wyborem jest podjęcie marzeń o pięknie, jak np. w obszernym wierszu „Monika”: *To prośba o Ciszę i Słońce*. Być może są to namiastki, zaklęcia, deklaracje retoryczne, ale i nie pozbawione znaczenia akty dowodzące na próby skutecznego duchowo radzenia sobie z osaczeniem. Tak, obraz świata jest gorzki, trudny, przerażający, *Wszystko zmeduzowało (...) Leżę / coś żeńskiego / nieutulony blask nagich piersi* („Meduza”), jednak tenże wyzwala w podmiocie tyleż samo usilną potrzebę uświadamiania sobie jego wymiarów. Co więcej,





w uważnej obserwacji i w stałym wysiłku nazywania, detal po detalu, własnej i zewnętrznej rzeczywistości, można dostrzec wolę skutecznego zmagania się ze światem w celu uzyskania autonomii dla własnej podmiotowości. Już to widoczne jest znacząco w drugim tomiku Ireny Zielinskiej pt. „**Naga rzeka**” (2003), podobnym do pierwszego, gdy idzie o podstawowy cel, a mianowicie przedstawienie dramatu osobistego życia.

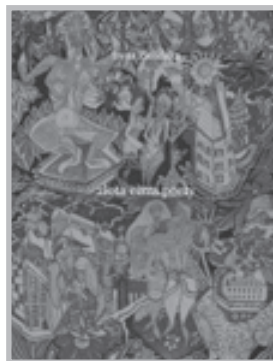
Tomik ten zarazem zdaje się być inny, dojrzałszy, bo zdradza lepszy warsztat poetycki i opanowanie formy. Powoli fascynacja mocą słowa nabiera istotnego znaczenia. Stąd ekspresja zdaje się być szersza, poszerzona o fascynacje muzyczne i celniejsza w procesie obrazowania owego „wycia” egzystencjalnego, które tutaj nie zawsze koniecznie od początku do końca, w całości, musi być oparte na oddaniu nagiego doświadczenia, ale może być przecież prezentacją precyzyjnie narysowanej konstrukcji: *o wszystko zadbałam / o każdy dźwięk, nawet o ryk fali*. Poza tym pisze poetka, co upewnia czytelnika, że w rozgrywce z cierpieniem także sztuka ma swój udział, więc pisze, jest już w stanie napisać autotematyczne, poetyckie „eseje”, syntetyzujące pewien zasób osobistego doświadczenia, a więc: „O mojej poezji – esej” (s.12) i „O miłości i samotności – esej” (s.52). Zwłaszcza w pierwszym ma miejsce zrównoważenie treści sztuki malarskiej i muzycznej z gehenną podmiotowego losu.

Treści estetyczne są tyleż samo ważne co bezpośrednie, zmysłowe: *To wszystko razem jak jazz, jak młode, roztańczone Murzynki i słońce. Ogniste słońce. Moje Murzynki od Grandiego tańczą tantere. To taki dziwny, powyginany taniec. I, jęczy, skomli jazz. Na drabinie dźwięków, tonów barwnych jak cała muzyka – moje ptaki słów osiadają. Z drugiego wiersza zaś mogłem już zacerpnąć efektowny cytat i posłużyć się nim jako tytułem do niniejszego tekstu, a mianowicie: „Mam w sobie teraz cud układania słów” oczywiście słów prawdziwych do bólu i nagich. Takie zdanie, to demonstracja pozyskanej możliwości.*

Natomiast poprzez zaprezentowaną w kilku wierszach próbę teatralizacji własnego cierpienia („Teatr”, „Piękna para”), doprowadza Irena Zielińska do uzyskania do niego dystansu. O elementarnym odbiciu od dna może świadczyć ujęcie: *Moje życie jest jak teatr / współczesny*. A więc jej cierpienie i los poniekąd zostaje uniwersalizowane, już nie tylko jej jest. To dzieje się za sprawą poezji, którą w pewnym momencie traktuje jako „cud”, co nie zmienia faktu, że ją *pisze / wyrrywając słowa / z dorzeczy nerwów*. Na pewno nie po prostu pisze. Zresztą nikt, żaden poeta, nie pisze po prostu, tylko z siebie poezję wyrывa.

Myślę, że poznajemy poprzez tego rodzaju zabiegi i deklaracje Zielińską jako poetkę świadomą, świadomą trudów, umiejącą opanować subiektywność i emocje, aby uzyskać jakiś za pośrednictwem narzędzi sztuki cel. Cel ten zresztą ma znaczenie fundamentalne, jego osiągnięcie decyduje o odzyskaniu nie tyle oczywiście upragnionej *nowej skóry, niezranionej, dziecięcej*, bo to ze sfery marzenia, ale oznacza również coś niebagatelnego: *Wtedy naprawdę mam cały świat w sobie i cały świat mną oddycha, a ja piszę*. To daje gwarancję *jednoczenia mnie ze światem*.

W „**Nagiej rzecze**” – myślę – w sposób niezwykle udany realizuje się poezja Ireny Zielińskiej. Albowiem podmiot osadza się w swoim ja, jeszcze doceniając na dodatek atuty własnej sytuacji. Pogodzenie z losem zapewne nie jest zupełne – on doskwiera, on jest ciężarem i bólem, ale już nie tyle pierwszym odruchem jest chęć jego odrzucenia, co reprezentowania siebie takiej, jaką się jest. Wyznaje w swoim



przekonaniu słusznie, iż: *Żyję tak, jak piszę. Piszę jak żyję*. To oznacza przyjęcie zasady wierności wobec bezpośredniego doświadczenia, ale i wskazuje, iż dla poetki samo pisanie też jest ważne. I te dwie sfery odąd będą sobie towarzyszyć. Z biegiem czasu okażą się nawet bardzo ważne.

W trzeciej swojej książce „**Złota cisza poety**” (WAG „Arsenal”, Gorzów, 2008) poetka będzie do-  
wodzić głównie, iż „cud układania słów” sam w sobie jawi się jako wejście w wysublimowaną rzeczywistość. Przemownie stara się więc z tej szansy korzystać, rozumie bowiem, że nie inaczej może *Wyrwać z siebie źródło własnego istnienia*, całego, nagiego i prawdziwego. Zdobycz tę wyzwolicielską, terapeutycznie ważną i użyteczną, nobilitującą społecznie, zdaje się cenić jeszcze z innego powodu. Sztuka słowa okazuje się być najlepszą

sojuszniczką w zdobywaniu pozytywnego stosunku do świata i własnego losu. Zdobycz jest niezwykle osobista, albowiem daje szansę posłużenia się głosem własnego ja, owszem, już trochę inaczej niż to było na początku, bo w funkcji stonowanej wypowiedzi, rozmowy, opisu i prezentacji.

Poza tym poezja życiowo poetce otwiera drzwi: *Zbyt długo byłam przytraśnięta, inna, wyobcowana. (...) Teraz nie wstydzę się tej inności. Wręcz przeciwnie, uważam ją za atut*. To brzmi na pewno już jako dość niesamowita, daleko posunięta, akceptacja własnego świata, ba, nawet satysfakcja z faktu jego posiadania, co jest zresztą jak najbardziej zrozumiałe. W końcu: *Teraz – mimo wszystko – lubię także siebie*. Wcześniej

problem stanowiło, zdaje się, daleko posunięte poczucie zagrożenia i uprzedmiotowienia. To z kolei skutkowało ogromną awersją do jakiegokolwiek udawania i sztuczności. Tylko przy założeniu i respektowaniu zasady, że *Uważnie przyglądam się światu (...) patrzę w głąb*, poznaję, a więc widzę jak jest naprawdę, można było się zdobyć na krytycyzm, ironiczny opis („Awersja do polityków”), ale i na nawiązywanie pozytywnej łączności ze światem, opisując realia („Pokoje”), („Ciotki”), („Czytelnia”), pisząc o „dobrym doktorze” i odnosząc się do znanych sobie bliskich ludzi, dedykując im sporo wierszy w imię przyjaźni i wdzięczności.

Osobisty wysiłek, nieunikanie nawet bardzo bolesnej o sobie prawdy doprowadziło poetkę do swoistej emancypacji duchowej. Myślę, że wypada to docenić. Zwłaszcza osiągnięcie pułapu obiektywizującego opis świata. Przyznaję, że poetka niemal dokumentacyjnie ukazała swój dramat, gdy *się niesie / ziemię na czole*. Skala zaprezentowanego dramatu nie ma sobie równej w lubuskim środowisku, niewiele dałoby się przytoczyć przykładów podobnego doznania istnienia na krawędzi bytu. Jeśli się nad czymś w tej chwili zastanawiam, to nad skutkami dość daleko posuniętej fascynacji samym byciem poetką, co zostało uwidocznione znacząco w „**Złotej ciszy poety**”. Jest to fascynacja czynnościami samego tworzenia, pisania wiersza, (choć to też poszukiwanie swojego miejsca w świecie), a nie przedstawienia rzeczywistości, jaka by nie była. Wiadomo jednak, że w pierwszym rzędzie kontakt w realną rzeczywistością czyni każdą sztukę żywą, do tego jest powołana. Na styku tych problemów zapewne rozstrzygnie się dalsza droga poetycka Ireny Zielińskiej.

Czesław Sobkowiak

Irena Zielińska  
**ZŁOTA CISZA POETY**

*W palcach depeszujących myśli  
prosto do nieba  
jest złota cisza poety  
słońce przemilczeń*

*pod słońcem żyją ludzie  
zwyczajnie  
śmieją się  
placzą  
wyrwują swe miejsce  
wrzeczane w światło dzienne*

*a poeta wiersz pisze  
napięte powietrze  
unosi na skrzydłach  
pulsuje w nim anioł słowa  
tężeje upalne lato*

\* \* \*

*Teresie Rozpłochowskiej- Świtale*

*W skalistej bieli wiersza  
jest wzlot ciężarnego słowa*

*słowa  
pionowe milczenie  
skamieniały czas*

*żeby to wszystko wyrwać  
jak ziarno oddechu w śliskim locie  
zatrzymać*

**Irena Zielińska**

Urodziła się w 1956 r. w Gorzowie Wlkp. Poetka i malarka. W twórczości znajduje sposób na rozliczanie świata, w którym przyszło jej żyć i czyni to z rzadko spotykaną ekspresją. Debiutowała w 1977 r. w miesięczniku „Odra” (Wrocław). Mieszka w Międzyrzeczu. Wydała tomy wierszy „Oceania Irenejska” (Gorzów 1998), „Naga rzeka” (Gorzów 2003), „Złota cisza poety” (Gorzów 2008). Wszystkie autorka sama ilustrowała. „Naga rzeka” nominowana była do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, a w tym konkursie dostała nagrodę za najładniej wydaną książkę w województwie lubuskim w 2003 r. Jej wiersze wielokrotnie prezentowano w programach radiowych i telewizyjnych. Współpracuje z prasą lokalną („Kurier Międzyrzecki”) i gorzowskim czasopiśmie literackim „Pegaz Lubuski”.

**„Złota cisza poety”,  
czyli „szary głos piszącej”**

**Beata Patrycja Klary**

Najnowszy tom wierszy Ireny Zielińskiej, to bardzo dobry przykład na tak zwaną literaturę intymistyczną, literaturę dokumentu osobistego. Do takich dokumentów, wbrew pozorom, nie zalicza się wyłącznie dzienników, pamiętników, listów, autobiografii, luźnych notatek, reportaży i wywiadów, lecz także wiersze. Poezja może mieć (i wielokrotnie ma), wymiar dokumentu osobistego. Jest wówczas bardzo subiektywna, ujmująca tematy wyłącznie przez pryzmat ja autorskiego. Teksty takie są zaangażowane emocjonalnie, obnażają autora, pokazują cały jego świat wraz z kompleksami, skłonnościami czy obawami. Tak napisane wiersze (z niektórymi wyjątkami), nie wejdą nigdy w kanon literatury, natomiast świetnie zaświadczą o czasach, w jakich powstały, o ludzkich wówczas problemach, najbardziej zaś nakreślą postać samego autora. Autorki w tym wypadku, która uwielbia nazywać siebie „Poeta”. Jest to bardzo odważne i zarazem ryzykowne. Odwagę popieram, ale jednocześnie muszę stwierdzić, że jest to dla czytelnika krępujące. Już sam tytuł ustawia relacje: Poeta-czytelnik. Lecz któż to jest Poeta? Czy każdy, kto pisze wiersze, może się takowym zwać? Co świadczy o tym, że na tysiąc piszących osób jedna będzie zasługiwała na miano poety?

Zielińska pisze w kilku wierszach: „wciąż ta obecność poety”, „my poeci zanurzeni w gęstym powietrzu”, „poeta zwykle umiera po cichu”. Darujmy tytuł (zaczepnięty zresztą z jednego wiersza Zielińskiej), i przejdźmy do samych tekstów. Kilka wierszy z tomu to znów wynurzenia „poety”, o „nas poetach”, o pisaniu, o wierszach. Za dużo tego. A przecież w wierszu „Konkurs poetycki” autorka próbuje zdyskredytować krytyków, którzy przecież najbardziej są uprawnieni do mianowania piszącego poetą: „... krytycy teraz zdzierają skórę z garbatego grzbietu / mojej wyobraźni / są jak psy niebiańskie – dzikostwory / wszyskosłyszający / co w białej myszy piszczy, co w trawie / ślizgający się oczami po rozrzedzonych literach / jak po łące grząskiej od psich gówień”. No i masz babo płacek. A więc krytyk jest be, a poeta jest cacy. A przecież i jeden i drugi mają swoje miejsce. Istnienie jednego bez drugiego nie jest zasadne. Każdy czytelnik sięgając po wiersz, staje się krytykiem. Natomiast słowa krytyki nie są niczym złym. To korzyść dla piszącego.

Trudno w poezji dokumentu życia ustrzec się poetyzmów, metafor zbudowanych na zasadzie konkret plus abstrakt np. kropla nadziei, skrzydła duszy. W całym tomie zresztą jest bardzo dużo słów o „duszy”. Zdecydowanie za dużo „duszy w duszy”. Zaraz przypomina mi się zadanie warsztatowe ze spotkań w Grodzkim Domu Kultury – napiszcie wiersz o duszy, bez użycia słowa „dusza” (nazwijcie to co abstrakcyjne, zaprezentujcie szczegół). Banalne zadanie, ale jakże rozwijające. Polecam.

Autorka pisze „w moich wierszach noc i milczenie lepkie od słów rośnie”. Nie widzę tego. Czytam, czytam i lepkości nocy, milczenia – nie ma. Są podane jakieś treści, jakieś utarte prawdy. Najczęściej dotyczące samej autorki. Te wiersze autoprezentują nam piszącą, która „opisuje swój własny wiersz” (Dlaczego piszę?). Nie kwestionuję prawa Zielińskiej do tego, zwłaszcza, że niektóre operacje słowne są ciekawe: „...o zmierzchu kurwa tańczy na trotuarze / w starym filcowym kapeluszu / i w brudnej kiece / jak suka / wabi bezdomne psy” (Awersja do polityków). Cały ten wiersz ma pazur. Pokazuje prawdę. Jest szczerzy. To przykuwa uwagę. Tam gdzie autorka przestała udawać, uciekać w poetyzowanie, w liryczność, wiersz nabiera życia. Natomiast tam, gdzie Zielińska pisze o motylkach, o złotych pierścieniach poezji czy ramionach ciszy, teksty są nieudane.

W przypadku tej autorki – zgodnie z jej własnymi słowami zawartymi w tomie: „Zbyt długo byłam przytrzaśnięta, inna wyobcowana. Teraz nie wstydzę się tej inności. Wręcz przeciwnie, uważam ją za atut”, niejeden krytyk pokusi się o „łagodny wymiar kary”. Nie jest to dobra droga, gdyż na głaskanie po głowie (jak podkreśliła w bezpośredniej rozmowie ze mną), Irena Zielińska nie oczekuje. Pokazuje czytelnikowi siebie (często w upoetyzowany sposób) i ma do tego prawo. Czy komukolwiek się ten sposób obrazowania spodoba, zależy od wrażliwości i wiedzy poetyckiej odbiorców. Aby się o tym przekonać – należy wspomniane tutaj wiersze – przeczytać!

*Beata Patrycja Klary*

## Z życia wzięte

Krystyna Kamińska

Stanisława Plewińska znana jest jako poetka ludowa, autorka wierszy, które złożyły się na cztery tomy. Proste, płynące z serca wersy zawsze urzekały autentycznością opisu wsi, przeżyć autorki, jej otwartością dla świata i ludzi. Ale ostatnia jej książka jest inna, bo napisana prozą. Złożyły się na nią dwa utwory. Pierwszy to klasyczny pamiętnik od lat wczesnego dzieciństwa we wschodniej Wielkopolsce, przez tragiczne lata wojny, które autorkę rzuciły w okolice Berlina, potem wrastanie w podgorzowskie wsie: Maszewo i Deszczno, aż do pierwszych prób literackich. Tytuł tego pamiętnika - „Świat był piękny, a ludzie niezgorsi”. Drugą część pt. „Córka trzech matek” stanowi mikropowieść o losie dziewczyny z najbliższej rodziny autorki, czyli także jakby pamiętnik, tyle że zapisany nie w pierwszej,



*Jubilatka i wójt Gminy Deszczno Jacek Wójcicki, zatopiony w lekturze urodzinowego prezentu*

a w trzeciej osobie liczby pojedynczej. Obie części łączą niektóre postacie, sama autorka w pierwszej występuje jako Stasia, a w drugiej jako Ania. Obie podyktowało życie. Obie dobrze się czyta. Napisane są prostym językiem, z pojawiającą się niekiedy gwarową nutką w słownictwie lub w składni.

Stanisława Plewińska urodziła się w 1925 roku. Jej pamiętnik zaczyna się na początku lat trzydziestych, gdy ojciec wybudował w polu drewniany domek składający się z kuchni i pokoju o jednym okienku. Obok – pół hektara ziemi. Tam przeniosła się pięcioosobowa rodzina bez żadnych stałych środków utrzymania. Gdy dziś, siedząc w wygodnym fotelu ciepłego domu, czytamy o skrajnej biedzie, w jakiej żyła tamta rodzina, wprost wierzyć się nie chce, że zmiany te zaszły w okresie życia jednego człowieka. Pani Stasia uważa jednak, że tamten „Świat był piękny”. Mimo bardzo trudnych warunków, wszyscy członkowie rodziny ogromnie się kochali, wzajemnie sobie pomagali, mogli na siebie liczyć. Takie relacje międzyludzkie są kolejną wartością, którą należałoby przenieść do naszego dobrobytu – zdaje się radzić autorka. Część pierwsza książki, czyli pamiętnik, broni się samą prawdą przeniesioną z życia na papier. Wzbogacają ją liczne zdjęcia (od wojny, aż po lata objęte wspomnieniami).

Część druga, czyli powieść okazała się trudniejsza. Linie fabularną autorka ograniczyła do dziejów głównej bohaterki, co jeszcze można darować, ale gorzej sobie radzi z konstrukcją bohaterów, z opisami ich emocji, z nadaniem prawdopodobieństwa sytuacjom i zdarzeniom. Powstała w ten sposób raczej piękna baśń niż opowieść o prawdziwym życiu. A przecież właśnie tam znalazłam fragment, który nie ustępuje wielkiej prozie mistrzów. Biedna rodzina z kilkorgiem dzieci decyduje się oddać najmłodszą córkę na wychowanie komuś bogatszemu. Aż się wierzyć nie chce, że działo się to po wojnie,

w końcu lat 40. Pośrednikiem był ksiądz, który z ambony ogłosił, że poszukiwana jest rodzina dla dziecka. A potem ta scena, gdy matka z córeczką na rękę patrzy przez okno na zbliżającego się mężczyznę, który przychodzi po dziecko. Ona, chora, biedna, wie, że nie wykarmi dziecka. Ma świadomość, że w nowym domu jej córeczka będzie miała znacznie lepiej. Ale serce nie zgadza się na rozstanie z tą kruszynką.

Przejmująca scena. Jej prawda wynika przede wszystkim z tego, że Stanisława Plewińska w dzieciństwie była kochanym dzieckiem, a później jako matka ogromnie kochała dwoje zmarłych i czworo żyjących dzieci. Do dziś rodzina jest podstawową wartością w jej życiu.

Na niedawnych urodzinach autorki – już osiemdziesiątych trzech – w nowym, eleganckim domu zebrała się liczna rodzina. Prezentem głównym, który przywiózł wójt gminy Deszczno, Jacek Wójcicki, była właśnie wydana książka. Gmina opłaciła podstawową część kosztów druku. Wójt jest zdania, że najlepsza i najtańsza jest promocja gminy przez dokonania artystyczne, w tym książki miejscowych autorów. W gminie już mieszka kilkoro artystów, a inni zamierzają się osiedlić. Przede wszystkim dla nich wójt buduje Centrum Działań Artystycznych.

**Stanisława Plewińska – „Świat był piękny a ludzie niezgorsi. Córka trzech matek”, Gorzów Wlkp. 2008, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenal”, s. 132**



## Stanisława Plewińska

Znana była dotąd czytelnikom jako poetka ludowa. Wydała książki: „Polny kwiat” (Gorzów 1976), „Kłosa” (Gorzów 1981), „Mój dom wapnem malowany” (Lublin 1988), „Przyloty, odloty” (Gorzów 2005). Mieszka w gminnej, podgorzowskiej wsi Deszczno. Jej poetycki świat wyrasta ze związków z ziemią, z podziwu dla piękna i siły przyrody, z trudu rolniczej pracy, a także z miłości do rodziny i nieustającej, mimo wielu przykrych doświadczeń, wiary w potencjał dobroci człowieka. Już w książce pt. „Mój dom wapnem malowany” ujawniła talent narracyjny we fragmentach pisanego od młodych lat pamiętnika. Tenże pamiętnik w całości stanowi pierwszą część w najnowszej książce Stanisławy Plewińskiej „Świat był piękny a ludzie niezgorsi. Córka trzech matek” (Gorzów 2008). Drugą jest fabularyzowane autentyczne zdarzenie zaistniałe ongiś w kręgu jej rodziny.

Stanisława Plewińska jest członkiem Związku Literatów Polskich. Uznana została za najciekawszą ludową poetkę na Ziemi Lubuskiej, ale ma również swoje osobne, znaczące miejsce w gronie polskich twórców kultury.

## Córka trzech matek (fragment)

Na piaszczystym kawałku pola, wśród lasów, stał mały drewniany domek. Sklecony był z różnych kawałków drewna, jak połatana suknia. Koło domu, wokół którego nie było nawet płotu, na złocistym piasku bawiła się gromadka dzieci. Czasem można było zobaczyć drobną, wychudłą kobietę o blond włosach upiętych w mały koczek. Z jej twarzy z trudem można było odgadnąć, ile mogła mieć lat. Zmęczenie zarysowało jej policzki, podkrężyło oczy ciemnymi podkowami. Razem z mężem najmowali się do sadzenia lub plewienia u bogatszych gospodarzy, a gdy czas pozwolił, oboje chodzili jeszcze na zarobek do lasu. Przy okazji przynosili na plecach wiązki gałęzi i układali obok domu, aby zimą było czym palić. I tak było to za mało, by ogrzać dom stojący w gołym polu. Mąż kobiety czasami na wiejskich potańcówkach wygrywał na skrzypcach oberki i polki. Wtedy młodził, twarz mu jaśniała, choć rzadko uśmiechał się do rozbawionych par. Gaj przywiązany był do rodzinnych stron. Nigdy nie myślał o innym świecie, by szukać pracy i domu, choć słyszał już, że ludzie wyjeżdżają na zachód, by na wyzwolonej ziemi obejmować gospodarstwa po Niemcach.

– Zobaczysz – mówił do żony – niedługo wrócą. I żeby tylko z życiem uszli.

Gajowa przytakiwała. Zmęczona biedą Zalesia nie miała pojęcia o innym świecie. Do tego głowę miała pustą, bo do żadnych szkół nie chodziła. Myślała o tym, jak nakarmić i przyzdziać ośmioro dzieci i to dziewiąte, już spodziewane.

Po Bożym Narodzeniu z lękiem oczekiwała na nowe dziecko; bała się tym bardziej, że poprzednie chorowało i zmarło. Po nocach budziła się z lękiem i myślała o tym okropnym miejscu, z którego – jak jej się zdawało – nie ma ucieczki.

Wlokła swe życie dzień za dniem, milczała przygaszona głodem. Pewnej nocy, kiedy mąż grał we wsi, Gajowa sama borykała się z cierpieniem i ze strachem rodząc nowe dziecko. Po wszystkim owinęła noworodka w czyste lniane płótno, położyła przy śpiących, ciepłych dzieciach, a sama jak mogła dochodziła do siebie. Nad ranem przytuliła córeczkę do piersi. Sama, też głodna, płakała. A niemowlę ciągnęło za brodawkę aż podjadło i zasnęło. Patrzyła na dziecko przez łzy.

– Boże miłosierny, nie dam rady – szeptała do siebie. Ta myśl przysła nagle: oddać dziecko ludziom. Przecież znajdzie się ktoś życzliwy, bez dzieci, gdzie mała znajdzie dom i jedzenie – tłumaczyła sama sobie z grzesznej myśli. Ale jak? Powiem Antkowi, to jakoś zaradzi. Boże, co za złe myśli mnie nachodzą. Wybacz mi, Boże, nie słuchaj tego, co mówię. To z biedy. Ja nie chcę! Ja tylko tak sobie myślę po cichu. Znużona zasnęła z maleństwem przytulonym do gołej piersi. Rano, kiedy wrócił Gaj i zobaczył żonę z nowo narodzonego dzieckiem, stanął przy łóżku, popatrzył chwilę, potem pochylił się i niezdarnie pocałował dziecko.

Po chwili zapytał:

– Co jest?

– Dziewuszka.

– Co zrobić? Trudno, nie zabijesz.

– Ano, nie zabijesz – cicho powtórzyła.

Następnego dnia wieczorem, kiedy już doszła do siebie, zebrała się na odwagę.

– Wiesz co pomyślałam sobie, kiedy cię nie było?

– Co?

– Żeby ją oddać do ludzi.

– Do ludzi? – zapytał mimo woli.

Wyciągnął z kieszeni przyniesionego ze wsi papierosa, zapalił od kuchni i zaciągnął się głęboko. Popatrzył na żonę milcząco. Siedziała skulona sądząc, że palnęła coś głupiego. Bała się, że nazwie ją wyrodną matką. Wstała, krzątała się powoli po chałupie, podeszła do kuchni, pogrzebała przygasłą torfę haczykiem. Podeszła do małego okienka, popatrzyła przez szybę na świat i znów zagadała:

– Ale wieje. Czy tylko starczy nam tego opału na zimę?

– Starczy, starczy. A jak nie, to las blisko.

– Blisko, ale mokre.

– Poszukamy suszków. (...)

Teraz on podszedł do okna i powiedział:

– Jak tu oddać własne dziecko? To grzech! Ale gdyby trafili się dobrzy ludzie, co nie mają dzieci, to może miałoby dobrze.

– Komu tu powiedzieć?

– Pójdę do kościoła i powiem księdzu. Niech ogłosi z ambony.

– Ale nazwiska niech nie mówi, dopiero jak się ktoś zgłosi.

Ksiądz zna ludzi, to będzie najlepiej wiedział, czy będzie miała dobrze.

Minęły dwa tygodnie, Gajowa wpatrywała się w dziecko coraz dłużej. Zgryzota tak jej zaprzętała głowę, że czuła się coraz słabsza i bardziej zrezygnowana. Ani ona, ani Antek nie mówili nic na temat dziecka. Przeszły dwie niedziele w milczeniu, niespokojne, jednak Antek do kościoła nie szedł.

– Dziecko płacze, nie mam pokarmu, czuję się chora.

– Nie ma innej rady. Jutro pójdę do kościoła i karzę ogłosić, niech ktoś zabierze i sobie wychowa.

Spoglądali po sobie, a żal mieszał się z bólem i cierpieniem. Gdyby znali, gdyby wiedzieli, co stanie się za rok czy pół, na pewno dziś nie męcziliby się tą myślą, czy wyrzec się swego dziecka i tym uratować mu życie. Ono tego, gdy przeżyje, nigdy nie zrozumie. Gajowa chodziła smutna, przytulała do pustej piersi córeczkę, która płakała często coraz dłużej i ciszej.

Nadeszła niedziela. Gaj gryzł się ze swym sumieniem, nie mógł podjąć decyzji. Teraz on bił się z myślą, co ma robić, jak postąpić, aby było dobrze. Wreszcie postanowił:

– Idę do kościoła i powiem księdzu.

– Idź – odrzekła żona.

Popatrzył na żonę, podszedł do dziecka, grubymi palcami dotknął maleńkiej buzi i wyszedł. Gajowa ukradkiem spoglądała na męża, nie mogąc wymówić ani słowa. Podeszła do okna, dłuższą chwilę za nim patrzyła. Szedł powoli jakby odmierzał ostatnie chwile pobytu dziecka w domu. Był tak zamyślony, że oprzytomniał dopiero przy wejściu do kościoła, gdy zęgnął się zimną wodą. Stał prawie przy samych drzwiach, żeby w razie jakiegoś nieszczęścia móc szybciej wybiec. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że musi to powiedzieć księdzu na osobności. Przeżegnał się i szybko wyszedł z kościoła udając się w stronę plebanii. (...)

Gaj nie bardzo wiedział jak zacząć.

– Chciałem proboszcza prosić o radę.

– Słucham, słucham panie Gaj.

– Urodziło się nam dziecko, żona chora, boimy się, że nie damy rady wyżywić.

– Więc co, chore?  
– Nie, dziecko zdrowe, tylko żona chora.  
Poplątało mu się wszystko. Trudno było sprostować.  
– To ochrzczimy, spiszemy dane po mszy.  
– Nie, nie o to chodzi.  
– A o co?  
– Chcieliśmy oddać dobrym ludziom na wychowanie.  
– Jak to na wychowanie?  
– To znaczy na zawsze, z przepisem.  
– Aha, to znaczy, żeby ktoś adoptował?  
– Co proszę proboszcza?  
– Adoptował, to znaczy przepisał na zawsze na siebie.  
– Tak. O to chodzi. Może u kogoś będzie miało lepiej i nie zemrze z głodu i zimna jak to ostatnie – pospiesznie tłumaczył proboszczowi Gaj.

– Więc co mam doradzić, co zrobić?  
– Może ogłosić na kazaniu?  
– Dobrze, ogłosimy, spróbujemy.  
– Tylko nie podawać nazwiska, dopiero jak się zgłosi.  
– Dobrze, dobrze – przytakiwał ksiądz.

Powoli szli już razem do kościoła. Gaj czuł się nieswojo. Słumiony szum huczał mu w głowie. Kiedy zobaczył księdza na ambonie, o mało nie ruszył z miejsca, aby go zatrzymać i odwołać prośbę. Był tak oszołomiony bólem, że choć słyszał, nic do niego nie docierało.

– Drodzy parafianie, a teraz mały, ale ważny dla nas, chrześcijan, komunikat.

Ludzie uważnie wpatrywali się w księdza, czekali co powie. Gaj nie wytrzymał, ocknąwszy się pospiesznie wyszedł, nie słysząc słów, jakie wyrzekł ksiądz. Szedł znów powoli w stronę domu, tłumacząc sobie, że nic się nie stało. Gajowa niecierpliwie czekała na męża. Kiedy go ujrzała, wiedziała, że stało się to, co stać się musiało. Jakoś niezgrabnie poruszała się po chacie, czuła, że ręce i nogi ma sztywne. Cicho zaskrzypiały drzwi i do chałupy wszedł mąż. Patrzyła na niego o nic nie pytając. On spojrzał głęboko i powiedział:

– Ogłosił.

Z rąk wypadły jej dwa kawałki drewna, które właśnie chciała włożyć do kuchni. Zbladła, podeszła do skulonego śpiącego dziecka.

– Ano, wola boska – wyrzekł cicho Gaj.

– Może nikt się nie zgłosi. A po chwili dodała – na pewno nikt. Sami biedni ludzie na tym naszym Zalesiu mieszkają.

Podawał skromny obiad i gromadka rozkrzyczanych dzieci obsiadła stół. Sami usiedli na ławie oddzielnie, nie mówiąc ani słowa, jakby czekając na burzę, która miała nadciągnąć, tylko nie znali kierunku. Czerwone słońce rzucało cieniutkie smugi przez maleńkie okno, a jeden z promieni usadowił się nad główką śpiącego dziecka. Oboje myśleli o tym samym, oboje cierpieli tak samo, lecz milczeli. Słońce zapadło szybko za wysoki bór, tylko wąskie promienie przedzierały się przez wierzchołki drzew. Szybko zbliżył się wieczór. Poukładali dzieci spać. Wzięła najmłodsze na kolana i usiadła przy blaszanej kuchni. Obnażyła wychudłą pierś, na której rysowały się liliowe żyłki. Przytuliła do piersi małą buzię, długo się w nią wpatrywała. Zgasiła lampę, ale blask od kuchni wesoło igrał po jej twarzy. Gaj położył się przy dzieciach i od czasu do czasu otwierał oczy zerkając na żonę. Siedziała cicho, dławiąc ból, a łzy spływały na małe zawiniątko.

Minął jeszcze jeden dzień. Było mroźno, śnieg bielił się dookoła. Gajowa trochę poweselała, bo nie bardzo wierzyła, że ktoś się zjawi.

Jeszcze nie całkiem zaszło słońce, kiedy dostrzegli człowieka idącego w stronę ich domu.

– Eee, to tylko ktoś się wlecze albo wraca do domu – pocieszali się oboje.

– O Jezus, idzie do nas !

Gaj przybliżył się do okna.

– Ano, idzie do nas.

– Cicho, ale kto to.

– Boże, to przecież Stefan Czubaj!

– Tak, Czubaj – powtórzyła żona.

Oboje zamilkli. Gajowa przytuliła mocniej do piersi dziecko i czekała aż Czubaj otworzy drzwi. Za drzwiami słychać było tupanie butów ze śniegu.

– Po dziecko, bo oni dzieci nie mają – wyszeptwała cicho.

– Ano, zobaczymy.

Drzwi skrzypnęły i do izby wszedł nieduży, drobny człowieczek dobrze im znany. Czubajowie byli bezdzietni. Mieszkali w Zaciszu, mieli swój gliniany domek, o dwóch izbach i sieni, a w sieni piec do chleba, piwnicę pod podłogą. Mieli małą stodołę, obórkę i trzy morgi ziemi. Byli to ludzie biedni, ale pobożnie wychowani i lubiani przez wieś. Stefan był stolarzem, robił meble i trumny. Wieczorem schodzili się do nich sąsiedzi, opowiadali różne dzieje i strachy, a w maju śpiewali pieśni. Gaj też często tam bywał. Czubaj otupał nogi ze śniegu.

– Pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków – odpowiedział Gaj.

Czubaj sięgnął po machorkę i poczęstował Gaję. Męski to zwyczaj kiedy ma się jakąś sprawę. Pociągali w zamyśleniu machorkę spoglądając po sobie. Czubaj nie bardzo wiedział, jak ma zacząć tak bardzo ważną rozmowę. W duszy chciał tego bardzo, ale kiedy zobaczył matkę tulącą do wychudłej piersi dziecko, nie miał siły nic wyrzec. Muszę jakoś zacząć, po to przyszedłem – pomyślał. Poruszył się nerwowo na ławie i wreszcie rzekł:

– Czy to prawda, że chcieliście oddać dziecko? Tak słyszałem. Na ambonie ksiądz ogłosił w kościele.

– Prawda.

– Bałem się, że nas ktoś wyprzedzi i przyszedłem. Żona tak chciałaby mieć dziecko, ale nie może. Jeden ma za dużo, a drugi wcale.

– Ano tak już jest – odezwał się Gaj.

– To prawda.

– Ale ładniutkie, wyrośnie z niej dziewczuszka jak trzeba – dodał szybko.

Pozawijał dokładnie dziecko, a potem rozpiął guziki od palta. Przytulił do piersi, zapiął palto i powiedział:

– No tak, nie zamarznie, tu jej będzie ciepło. Zostańcie z Bogiem.

Otworzył drzwi i wyszedł pewnym już krokiem. Nie odwracał się, tylko uważnie stapał po śniegu jakby niósł coś świętego. Gaj podszedł do okna i przyglądał się Czubajowi, który unosił cząstkę jego życia w niepewnie jutro. Nie wiedział, czy dobrze postąpił. Odwrócił się, gdy usłyszał szloch żony, spojrzał na nią i zrobiło mu się jej żal. Byli przecież jeszcze młodzi, a życie przed nimi. Kochał ją, lecz z tej biedy nawet nie umiał tego okazać.

– Nie płacz, będzie miała lepiej niż u nas.

Kobieta długo patrzyła w okno siedząc na małym stołeczku przy oknie. (...)

## Drugi tomik wierszy Karola Graczyka!



punktem poezji Graczyka. Niezwykła to wrażliwość, ale i wrażliwy zmysł obserwacji, widzenie niedostrzeganego sprawia, że tych wierszy się nie czyta, w nich się przebywa. Odwiedza się ten wsobny świat autora, w którym różnie bywa – podoba nam się lub nie. Zachwyca ten świat lub odrzuca, jedno jest pewne – jest to na tyle ciekawy świat, że warto obserwować jego rozwój i ewolucję.

**Karol Graczyk „Osiemdziesiąt cztery”** (wiersze), Andrzej Tomaszewski (grafika) – WAG Arsenal, seria Biblioteki Pegaza Lubuskiego, poz. 20, Gorzów Wlkp. 2008

### Z recenzji wydawniczych:

**O nowej książce Karola Graczyka „Osiemdziesiąt cztery” pisze Leszek Żuliński, poeta, krytyk, publicysta, laureat wielu konkursów literackich**

Książka wydana w porę: nie za wczesnie, nie za późno, a jednak coś ważnego wyłamuje się tu z szablonu – to poziom tych wierszy. Wierszy znakomych, wyjątkowo dojrzałych, przejmujących, oryginalnych, sytuujących autora w czołówce jego pokolenia i pośród poetów, których szybko uczymy się odróżniać od innych. Poziom tych tekstów wynika z trzech zasadniczych cech: z obrazowości, nastrojowości i wyobraźni. Świat tych wierszy jest bardzo „tanatoidalny”, śmiertelnie zarażony śmiercią, dekadentki, prowokujący rzeczywistość Leśmianowskiego „zanurza”. To bardzo dramatyczne wiersze, ale jednak jest w nich miejsce na ciepło, wzruszenie i czułość; kilka pięknych erotyków, które zaliczają się do najlepszych, jakie ostatnio czytałem. Przy okazji tych właśnie utworów warto zwrócić uwagę także na warsztat Graczyka. Osobliwy, nieszablonowy leksykon, konstrukcje fleksyjne, syntaktyczne, frazeologiczne – tu kryje się kreatywność i oryginalność autora, tu jest jego „osobność”, te wszystkie smaczki, dzięki którym już teraz ma on „swój ton”. Graczyk znakomicie łączy prostotę z „ciężarem” wiersza. O te najtrudniej w poezji. Tu „robi się ciepło”.

**Tomasz Pietrzak, poeta, tłumacz, laureat Open Poety Contest:**

Zadziwiają skojarzenia powstające podczas lektury tomu „Osiemdziesiąt cztery”, bo świat prezentowany w tych wierszach jest bardzo własny, niemalże hermetyczny. Śmierć, gdzieś czająca się w tych często bardzo delikatnych i subtelnych, żeby nie powiedzieć romantyzujących wierszach, wydaje się być najciekawszym

## OSIEMDZIESIĄT CZTERY

*Mamo zabiłem człowieka ale po kolei*

*w zeszłym roku mikołaj wszedł do nas  
przez kuchenkę gazową kiedy wspinałem się  
po podłogach i nie zamykałem drzwi  
później poznałem ją i rozmontowałem  
ocierała się o mężczyzn w autobusach o śmierć  
proponowała nietykalność na ochotnika  
w końcu obiecała będę tam gdzie o mnie pomyślisz*

*na peronie ustawiałem się na białej linii  
i szykowałem do startu ale po kolei*

*podawaliśmy sobie definicje boga  
strzelaliśmy do ludzi jak do psów i kotów  
łączyła nas kiść winogron i zależności  
dzieliły stacje kolejowe w końcu uciekła  
miała już swoją belkę z przyzwyczajenia*

*chodzę czasem na dworzec i czekam na pośpiech  
tam na peronie ustawiam się na białej linii  
i szykuję do startu mamo zabiłem człowieka*

**Karol Graczyk**

**Drugiej, po „Oko i oko” książce Karola Graczyka poświęcimy więcej miejsca w następnym numerze naszego czasopisma**



Krystyna Kamińska  
**Landsberczyka  
wyznanie  
miłości  
do Gorzowa**

Dieter Ehrhardt swoje wspomnienia z dzieciństwa zatytułował „Landsberg nad Wartą i ja”, a w podtytule dodał: „Landsberczyka wyznanie miłości do Gorzowa”.

Autor tej książki, urodzony przed 74 laty w Landsbergu nad Wartą przy dzisiejszej ulicy Wawrzyniaka, opuścił swoje miasto 30 stycznia 1945 r. To, co zapamiętał, łączy się ze szczęśliwym dzieciństwem, majówkami nad okolicznymi jeziorami, miłością rodziców, początkiem szkoły. Niewiele tam wojny. Jej przejawy widoczne są dopiero od jesieni 1944 r., gdy trudniej było o zapasy żywności na zimę. Jego ojciec powołany został do volkssturmu dopiero 15 stycznia 1945 r. i skierowany do pobliskiego Trzebiszewa. A jeszcze na 29 i 30 stycznia dostał urlop i do domu przyjechał pociągiem. Teraz dla rodziny zaczyna się nadzwyczajny zbieg przypadków, które wszystkim jej członkom pozwoliły wyjść z wojny bez szwanku. W zasadzie na tym kończą się wspomnienia Dietera Ehrhardta, ale dla mnie zaczyna się to, co najciekawsze. 30 następnych lat autor kwituje krótko: *Były dla mnie naprawdę straszne. W swojej własnej ojczyźnie czułem się obco i jak wielu innych uchodźców wzrastalem w poczuciu wykluczenia, ze świadomością, że nie należę do tutejszych.* Pewnie trochę z tego względu, po uzyskaniu tytułu doktora nauk prawnych, związał się z ONZ-etem i innymi międzynarodowymi organizacjami. Pracował na Jamajce, w Japonii, w Kenii, na południowym Pacyfiku. Z tej dalekiej perspektywy patrzył na Europę, na Niemcy, na Polskę. Kiedyś w Nowym Jorku spotkał polskiego znakomitego dziennikarza – Wiesława Górnickiego. Napisał do niego życzliwy list. Górnicki odpowiedział, że ma przyjaciół na całym świecie, ale Dieter Ehrhardt jest pierwszym Niemcem, który wyciągnął do niego rękę. Następnie Górnicki zrobił dla Dietera coś bardzo ważnego: zawiózł go do Gorzowa. To było w 1995 r. 50 lat po wyjeździe.

Teraz Dieter Ehrhardt często przyjeżdża do Gorzowa, ma tu przyjaciół, cieszy się rozwojem miasta i polskim mieszkańcom oddaje wspomnienia swojego szczęśliwego dzieciństwa.

**Dieter Ehrhardt** (formalnie nosi imiona Dietrich Manfred Kurt), urodził się 24 lipca 1934 roku w Landsbergu/Gorzowie, mieszkał przy ul. Wawrzyniaka 73, syn Kurta (główny księgowy w fabryce Maxa-Bahra) i Almy z domu Grunzke. Studiował prawo, ekonomię i psychologię na uniwersytetach we Frankfurcie nad Menem, Monachium, Getyndze i Marburgu (1956–1961). Po studiach (1958-1965) był



nieetatowym korespondentem fińskiej gazety „Satakunnan Kansa” w Pori w zakresie spraw niemieckich i europejskich. Przeprowadził wówczas wywiady z wieloma ludźmi polityki i artystami, m. in. Willi Brandtem, Louisem Armstrongiem, Jeanem Cocteau, Fernandelem, Yehudi Menuhinem, Karlem Böhmem i Pierrem Salingerem w Białym Domu (rzecznik prasowy prezydenta Johna F. Kennedy’ego). W roku 1969 na Uniwersytecie w Marburgu obronił pracę doktorską z zakresu prawa międzynarodowego. Wolny słuchacz UN Institute for Training and Research – Instytutu Szkoleń i Badań ONZ (1971-1972). Następnie referent w Federalnym Ministerstwie Współpracy Ekonomicznej (BMZ) w Bonn (1972–1975). Później w UNFPA – Funduszu Ludnościowym ONZ – dyrektor dla anglojęzycznej części Karaibów (z siedzibą na Jamajce – 1975-1980), następnie Kenii (1980-1984), Turcji (1984-1988) i Południowym Pacyfiku (z siedzibą na Fidzi, 1988-1990). Zastępca dyrektora departamentu w BMZ w Bonn (1991-1992 i 1995-1999). Ekspert od spraw ludnościowych przy Komisji Europejskiej w Brukseli (1992-1995). Główne jego zainteresowania w pracy w latach 1972-1999 to polityka ludnościowa i planowanie rodziny w Trzecim Świecie. Przyjaciół Wiesława Górnickiego od roku 1967 do jego śmierci w roku 1996. Obecnie mieszka w Zell koło Würzburga.

## Fragment książki „Landsberg nad Wartą i ja”

Wszyscy świadkowie tych wydarzeń potwierdzają, że wieczorem 29 stycznia nikt w Landsbergu nie wiedział, jaki los czeka jego mieszkańców w najbliższych dniach. Bo jeszcze ok. godz. 10 wieczorem, 29 stycznia, przez radiowęzeł informowano, że nie ma powodów do niepokoju ani potrzeby ewakuowania miasta.

Miejscowe kierownictwo NSDAP albo otrzymało zalecenie, by głosić te uspokajające wieści, albo nie zostało poinformowane ani przez geobelsowskie ministerstwo propagandy w Berlinie, ani przez Wehrmacht, o rzeczywistej sytuacji na froncie. Tymczasem Armia Czerwona znajdowała się w tym momencie ok. 20 kilometrów od rogatek miasta.

Potem przyszedł wtorek, 30 stycznia 1945 roku, dzień, w którym skończyło się moje dzieciństwo.

### 30 stycznia 1945: „ucieczka“ z Landsbergu

(...) Wszystkie te wydarzenia zdawały się być przeżywanym na jawie koszmarem. O 6 rano zadzwonił dzwonek u drzwi. Mój ojciec otworzył. Na klatce schodowej stał chłopiec z Hitlerjugend i powiedział: *Kobiety i dzieci natychmiast na dworzec!*

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego ten chłopiec pojawił się u nas. Żaden z landsberczyków, których o to pytałem, nie słyszał o rozkazie dla członków Hitlerjugend, by chodzili od domu do domu i kazali kobietom i dzieciom spieszyc na dworzec. Ogólny chaos w mieście

w owym czasie, a być może także inne względy zdecydowały, że do wielu innych domów i na wiele innych ulic nie dotarł podobny posłaniec. Nasza rodzina znów miała szczęście.

Na dworze panował dziesięciostopniowy mróz. Ubraliśmy się. W zimowe poranki była to zawsze nieprzyjemna czynności, ponieważ dom ogrzewany był piecami kaflowymi, które nie chroniły przed nocnym spadkiem temperatury.

Mama była tak chora, że miała trudności, by się ubrać. Ojciec chwycił worki przekształcone w dwa nowe plecaki i włożył do nich, zgodnie z jej wskazówkami, dwa dziecięce kocyki i bieliznę. Nie wiedzieliśmy, jak długo będzie trwała podróż, jak długo będziemy na dworze, a podwójna warstwa bielizny wyjątkowo skutecznie chroni przed zimmem.

Ilse (siostra) opowiedziała mi w 2001 roku, że już kilka dni wcześniej przygotowano niewielką torbę z najważniejszymi dokumentami (paszportami, książeczkami oszczędnościowymi, obligacjami rządowymi i umową kupna volkswagena, który miał być dostarczony w 1948 roku). W pośpiechu i podnieceniu, które mimo całego zewnętrznego opanowania i mechanicznego przebiegu czynności były nie do uniknięcia, torba ta została gdzieś w domu.

Mama latem i jesienią 1944 roku zawekowała dużą ilość owoców, traktując je jako żelazną rezerwę. Do 30 stycznia 1945 udaremniała wszelkie próby dobrania się choćby do jednego słoika. Nawet w Boże Narodzenie nie zrobiła wyjątku. I właśnie gdy mieliśmy już wychodzić, po raz ostatni w Landsbergu nad Wartą zapytałem: Mamusiu, czy mogę TERAZ otworzyć słoik z wiśniami? Mama najwyraźniej zrozumiała bezcelowość ochrony wszystkich tych skarbów i wyraziła zgodę. Wepchnąłem sobie do ust trzy pełne łyżki stołowe wiśni, łyżkę zostawiłem w słoiku.

Spojrzeliliśmy po raz ostatni na brązowe drzwi mieszkania (brązowe jeszcze w roku 2006) i z pierwszego piętra, przez zdobny kafelkami korytarz wyszliśmy ku blademu światłu poranka. Obydwa plecaki załadowaliśmy na nasze sanki, po raz ostatni przekroczyliśmy Horst-Wessel-Strasse (obecnie ulica Wawrzyniaka) przy słupie ogłoszeniowym i wzdrygnęliśmy się na myśl o zbliżających się Rosjanach, idąc po zmarzniętym śniegu przez park Lützowa (park Wawrzyniaka) do mostu Gerloffa (Staromiejskiego) na Warcie. Ojciec w mundurze volkssturmu, mama, babcia, Ilse i ja. (...)

Z prawej na ciemnym niebie widzieliśmy jasną lunę płonącego Friedebergu (Strzelec Krajeńskich), niewielkiego miasteczka oddalonego o 25 km od Landsbergu. (...)

Napięcie związane z czekającym nas już za chwilę, trudnym pożegnaniem oraz niepewność – dokąd zawiozą nas z dworca – niemal przyciskało nas do ziemi, gdy tak przebijaliśmy się przez śnieg. Jednocześnie panowała atmosfera opanowania, nikt nie odczuwał, że oto żegna się z Landsbergiem na zawsze, było to raczej przekonanie, że *musimy po prostu przez to przejść*.

Przecież jeszcze poprzedniego wieczoru przekonywano nas, że nie ma potrzeby ewakuować miasta! Dlatego nikt nie zastanawiał się nad tym zbyt głęboko, dla landsberczyków była to po prostu tymczasowa ewakuacja, aby uniknąć zgniecenia przez maszynę wojenną, która miała pojawić się w mieście. Wszystkimi wydawało się oczywiście, że po wojnie wrócą i zamieszają w dotychczasowych domach.

I tak czuliśmy się ostatecznie – choć oczywiście tylko ostatecznie – *pod opieką dobrych mocy... i ufnie oczekiwaliśmy na to, co ma przyjść*, jak sformułował to proboszcz Dietrich Bonhoeffer. (Na rozkaz Hitlera został on, jako członek ruchu oporu, powieszony w obozie koncentracyjnym Flossenburg 9 kwietnia 1945 roku.)

O ósmej rano przed dworcem wałały się po śniegu bezpieczeństwa sanki. Inni mieszkańcy miasta, również w przekonaniu, że opuszczają miasto tylko tymczasowo, przywieźli na nich swój dobytek. Również oni nie zdawali sobie sprawy z faktu, że czekająca ich podróż była początkiem losu uchodźcy.

W holu dworca zobaczyłem coś, co zaparło mi dech w piersiach – stała tam cała piramida niezliczonych sanek. Leżały jedne na drugich, jak stos na podpalenie. Rzuciliśmy nasze sanie na ten stos – z krótkim przeczcieniem ostateczności – i zostaliśmy skierowani w górę, na peron, na którym stał już kolejny pociąg gotowy do odjazdu. I znów okazało się, że Bóg czuwa nad naszą rodziną: pociąg ten miał zostać skierowany do Halle, tam, gdzie mieszkała siostra ojca i jej mąż. Oznaczało to, że jeśli nie zostaniemy zatrzymani przez jakieś bombardowanie, to jeszcze tego samego wieczora, 30 stycznia, zapakujemy do ich drzwi.

Wsiadliśmy i załadowaliśmy plecaki. Mieliśmy jeszcze trochę czasu. Pociąg mógł odjechać dopiero wtedy, kiedy zdaniem kolejarzy nie dało się już doń nikogo wcisnąć.

Na peronie jakiś oficer Wehrmachtu zorientował się, że ojciec jest żołnierzem volkssturmu, dał mu do ręki pistolet i powiedział: *Rozkazuję panu zastrzelić każdego mężczyznę, który będzie próbował wsiąść do tego pociągu*. Szczęśliwie nikogo takiego nie było. Ten epizod zupełnie umknął mej pamięci; opowiedziała mi go siostra, Ilse, w pięćdziesiąt lat później, gdy sama miała 57 lat.

Pociąg ruszył. Cztery zeszytniałe twarze wpatrywały się przez dwa wąskie okna w mojego ojca, stojącego bezradnie na peronie, teraz opanowanego, pełnego samodyscypliny, głęboko skrywającego emocje. Pomachaliśmy mu, popłynęły łzy. Czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczymy? Ponieważ nikt nie wiedział dokładnie, jak wyglądało wkroczenie Armii Czerwonej, nie mieliśmy poczucia, że unikamy jakiegось wielkiego niebezpieczeństwa. Interesowało nas tylko jedno pytanie: co będzie z naszym ojcem?

Poddał się woli bożej i 30 stycznia 1945 roku spełnił to, co zawsze uważał za najważniejsze, spełnił swój obowiązek – rozumiany jako wierność i uczciwość, a nie jako żołdacka powinność. Poszedł jeszcze raz do naszego mieszkania, wyprowadził z piwnicy rower i po trzydziestocentymetrowym śniegu pojechał szosą z powrotem 17 kilometrów w kierunku bunkra numer 894 wybudowanego w wale nadwarciańskim koło Trebisch (Trzebiszewa), z powrotem w bezkres śniegu.

Zanim się ściemniło, zatrzymali go rosyjscy żołnierze, zaledwie 100 metrów przed Trebisch. Wynika to ze szkicu, który ojciec narysował po wojnie. Rozpoznał czerwonoarmistów po białych ochronnych mundurach, natychmiast podniósł do góry ręce i zakrzyknął dwa słowa, które poznał jako osiemnastoletni żołnierz podczas pierwszej wojny światowej w Rosji: *Pażalusta, pan, pažalusta!* Jeden z Rosjan krzyknął wtedy do drugiego: *Nie strzelaj, to Polak!*

Nie zastrzelili go więc, nawet wtedy, kiedy – już w kilka sekund później – zorientowali się w pomyłce. W tamtym czasie na całej drodze między Landsbergiem a Trebisch wałało się tyle niemieckich trupów, że jeden więcej lub mniej nie zrobiłby już różnicy. Dlatego cudem w moich oczach jest fakt, że Rosjanie swą nienawiść, której należałoby oczekiwać, nienawiść uzasadnioną, potrafili utrzymać w ryzach i darowali życie mojemu ojcu, temu samotnemu żołnierzowi volkssturmu.

Kilka godzin wcześniej i zaledwie kilkaset metrów dalej, w Trebisch, Rosjanie złapali jeszcze jednego członka volkssturmu. To chyba był ten sam oddział Armii Czerwonej. Po krótkim przesłuchaniu kazali mu odejść i udało mu się przebić przez zaśnieżone lasy do Odry i na wolność. Jak nazywał się dowódca tego niewielkiego sowieckiego oddziału i gdzie w Rosji żyją jego potomkowie? Chętnie bym się tego dowiedział.

To, że mój ojciec przeżył tamten dzień – a więc zachowanie rosyjskich żołnierzy, pozwoliło mi i ojcu przeżyć najpiękniejsze chwile naszego życia. Nie mam odwagi wyobrazić sobie, co stałoby się z moim życiem, gdyby ojca dosięgła wówczas jakaś kula. Ojciec pozostał pod Bożą opieką.

Wieczorem, 30 stycznia, jakiś sowiecki oddział zebrał pojmanych w okolicach Trebisch żołnierzy volkssturmu i Wehrmachtu ze słowami: *My duże straty, teraz was zastrzelić*. Rozpoczął się marsz w niepewność, w noc. Przy każdym postoju jeńcy sądzili, że to koniec. Nigdy się nie dowiedzieli, dlaczego KONIEC nigdy nie nastąpił.

Dlatego dowódca tego rosyjskiego oddziału zadał sobie trud przeprowadzenia pod całonocną eskortą 30 albo nawet 50 niemieckich żołnierzy, by znaleźli się w *porządnej* niewoli, po tym wszystkim, co żołnierze ci zrobili od początku wojny na ziemi rosyjskiej, na terenach Polski i teraz, w samych Niemczech!?! (...)

**Dieter Ehrhardt**



## Myśli w miniaturkach zaklęte

Wiersze **Zygmunta Marka Piechockiego** są proste. Swojskie takie. Przekaz mają jasny i czytelny. Autor pisze o sprawach bliskich chyba nam wszystkim – o upływającym czasie, potrzebach serca i duszy, o samotności...

Jestem po lekturze trzech jego tomików – „54 wierszy bez cenzury”, „Zapisków klasztornych” i „Moich herezji”. Trudno mi w zasadzie napisać o każdym z nich z osobna, ponieważ tematycznie są ze sobą mocno powiązane. Ukryć nie sposób, że poeta to człek głęboko i szczerze wierzący, ale też momentami w wiarę tę powątpiewający. Wątpię, więc jestem. Żyję. Wątpliwości są miarą mojego człowieczeństwa. Nie jestem doskonały. Błądzą. Szukam. I, mimo wszystko, to właśnie w Bogu czy drugim człowieku znajduję spokój. Spokój daje mi siłę. Czasem chcę pobyć sam na sam z Bogiem. Ze sobą. Zamknąć się za klasztornymi murami i pozwolić, aby ich chłód i klimat przeniknęły moje trzewia. Abym w ciszy, ukojony spokojnym, miarowym rytmem zakonnego porządku dnia, mógł pomyśleć, wyciszyć się, pomedytować. Abym mógł wrócić do „normalnego” trybu funkcjonowania i abym na nowo dostrzegł otaczających mnie ludzi. Abym pamiętał o tych, którzy odeszli i teraz spoglądają na mnie z naznaczonych sepią starych fotografii...

Piechocki ma dystans nie tylko do otaczającego go świata, ale przede wszystkim do siebie. To nie lada sztuka do opanowania. Pomiedzy wersami nietrudno wyczytać, że nieco w życiu przeszedł, że nie zawsze miał pod stopami dywanik z płatków róż, częściej z kolców. Mówiąc już całkiem trywialnie, los niejednokrotnie przyłożył mu kopniaka w miejsce, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę. A może to tylko moje subiektywne odczucia? Może czasem te wiersze są zbyt dosłowne? Może delikatny woal przydałby im większej szczypty tajemniczości? Tu znów mój subiektywizm – nie zawsze lubię rzeczy powiedziane do końca, czasem wolę trzy kropki lub znak zapytania. Ktoś jeszcze tak ma?

Poeta przypomina czytelnikowi, że radość należy czerpać nie tylko z rzeczy wielkich i mocno uduchowionych. Sam ma ostoję w przyrodzie, do której często nawijuje. Las, pachnący las. Świergot ptaków, piękny zapach powietrza...

Warto popробować tej poezji, byle nie na raz, nie jednym haustem, gdyż traci wówczas swój urok. Niech ta książeczka leży gdzieś na biurku czy komodzie, niech będzie po prostu pod ręką i kusi. Jeśli smakować poezję, to tylko kawałeczek po kawałeczku, bez pośpiechu... Bo gdy się człowiek śpieszy... Sami zresztą wiecie... Delektujcie się zatem...

**Monika Dudzik**

**Z. Marek Piechocki**

### ZAPISKI KLASZTORNE

(Klasztor Dominikanek w św. Annie  
28-31 stycznia 2008)

1.

(Antonio Vivaldi - Gloria)

Wyziębione mury Klasztoru  
ustawiam gałkę grzejnika na „czwórkę”  
rozpakowuję torbę podróżną

Dzwonią na nieszpory  
słyszę tupot mnisich truchtów

Za szybami okien kraty  
gałęzie kłaniają się chmurom  
przeganianym tuż nad ziemią

Chóry śpiewają



2.

(Fryderyk Chopin  
Nokturn op. 9 nr 2)

Udziela mi się spokój tego miejsca

Kiedy Ich mijam w krużgankach  
uśmiechają się nieśmiało  
pochylają głowy  
odchodzą jakby się spieszyli

Cienie siebie ?  
Pana Boga ?

3.

(Fryderyk Chopin Mazurki op. 6)

Ten pokój – sześć kroków wzdłuż, trzy wszcz  
z oknem za którym zabudowania gospodarze i łąki  
zdobi tylko krucyfiks

Jest tutaj stół krzesło łóżko  
(zapasowy koc daje poczucie ciepła)  
czajnik opakowanie zielonej herbaty  
przywiezione płyty z klasyką  
kilka tomików z wierszami  
i  
moja rozedrgana samotność

4.

(Piotr Czajkowski  
poemat symfoniczny „Fatum“ op. 77)

Czytam wiersze Sylwii Plath  
słucham muzyki Piotra Czajkowskiego

Groza śmierci rozkłada uda  
nie chcę jej posiadać

Dobrowolnie

5.

(Fryderyk Chopin  
24 Preludia op. 28)

Cieszę się każdym wersem  
wkładam je jeden za drugim  
pomiędzy niebieskie linie zeszytu

Później  
wrywam kartki

6.

(Tomasso Albinoni – Adagio g-moll)

Jest tutaj  
(pomiędzy ścianą kościoła  
a klasztorным murem)  
Grób Nieznanego Żołnierza Września

I kiedy czytam inskrypcje na płycie  
słyszę płacz Matki  
do której nie wrócił tamtej jesieni

Zapalam dwa znicze

c.d. na stronie 18



dok. ze strony 17

7.  
(Antonio Vivaldi Gloria – Magnifikat)

Ponad kopułami Świątyni  
wiatr targa wielką płachtą szarych  
ptaków  
coraz to ją rozstrzępia  
wyrwane z szyku siadają na krzyżu  
Wtedy ożywa

8. Spostrzeżenia ze spaceru  
po łąkach i polach  
(Fryderyk Chopin  
Impromptu – Fantazja cis-moll op. 66)

Jakże  
jednak  
niewiele potrzeba ludziom:  
wzdłuż asfaltowej drogi – domy  
za nimi podwórka składziki obory  
parkany zamykające przestrzeń  
bytowania

Dalej to już tylko wielkie połacie pól  
aż po horyzont gdzie las

Spotykam ślady kopyt  
rowy przez podmokłe łąki  
miniaturowe brzożowe laski

W Ziemi  
szkatule ludzkich losów  
zachowane krople potu  
głosy  
oraczy żniwiarzy  
w ścierniskach jeszcze  
brzęk zwinnych kos

A ponad wszystkim wierne słońce  
i  
kopuły Klasztoru

9.  
(Franciszek Liszt –  
Conosolation nr 3 Des – dur)

28 - 31 stycznia 2008

Tamte dni  
naznaczone kontemplacyjnym  
pojednaniem  
z upływającym czasem  
wędrownkami w okolicie  
poznawania siebie  
podarował mi Najwyższy

Pod białymi habitami  
czarnymi welonami  
znajdowałem Jego uśmiech

Z. Marek Piechocki „Zapiski klasztorne”  
Gorzów Wlkp. 2008 Wydawnictwo autorskie

Marcin Dydyna (Lubin)

Od wiernego  
czytelnika

Tomik *Sytuacje* miałem okazję przeczytać jeszcze przed końcem 2007 r. Otworzyłem go z radością dziecka i już na wstępie zostałem przywitany lirycznym utworem, którym autor zaprosił mnie do swojego świata – szczerego, żywego i przekonującego. W kolejnych wierszach odnalazłem rozmowy z poezją, tęsknotę za samym sobą i miniatury opisujące ulotne chwile, zatrzymując je i czyniąc wiecznymi. Równie poruszające są wspomnienia, pożegnania z przyjaciółmi, a także krótkie utwory prozatorskie utrzymane w charakterystycznym stylu. Nie mogło też zabraknąć widoków Łośna i Gorzowa Wielkopolskiego – miejsc, w których autor żyje i tworzy. Utworom jak zawsze w tle towarzyszy Chopin, las i powiew wiatru, nadając obrazom świeżości.

*Sytuacje* to zbiór starannie dobranych wierszy. Przedstawione są na wysokim poziomie, ale także przystępne jak dla mnie – zwyczajnego „zjadacza” wersów. Ważnym aspektem jest wersyfikacja. Autor sygnalizuje każdą przerwę, zawahanie, oddech, dzięki czemu jeszcze bardziej można „poczuć” wiersz i niejako próbować odgadnąć myśli i zamierzenia samego twórcy. W tomiku oprócz liryki, można podziwiać doskonale ilustracje Anny Cytowicz, przedstawiające indywidualne spojrzenie autorki i zmuszające do wglębnienia się w najdrobniejsze szczegóły.

Tomik *Sytuacje* potwierdza tylko to, co wiem już od dawna. Marek Piechocki jest i pozostanie jednym z moich ulubionych poetów. Gorąco polecam ten zbiorek, bo wart jest tego, by do niego wracać, ciągle poznawać od nowa. Po prostu mieć.

## SYTUACJE

## Sytuacja 1

Nie mam z kim rozmawiać  
sekret niewypowiedzianych  
słów

zostaje we mnie

## Sytuacja 2

Światło świec  
na ścianie teatr cieni

Kłęczysz później  
pochylasz się  
do mnie

## Sytuacja 3

Zanim otworzysz ostatnią  
stronę będę czytał  
ciebie Braille'm

## Sytuacja 5

/wiosenna/  
Cieszę mnie kwitnącą  
forsycje

a ona mówi że dla niej  
nawet

ptaki nie śpiewają

## Sytuacja 7

/albo satyr z oczami dziecka/

Jeszcze raz uwierzył  
słowom opadaniu rzęs

Teraz w odwrocie

## Sytuacja 10

Preludium des-dur Chopina  
ty z mokrymi włosami  
idziemy

## Sytuacja 12

Zamiast relanium  
łażenie po lesie  
sarny pokazują tyłki  
jak życie

## Sytuacja 13

/na 50-lecie/

Dawno złote chwile  
przytulenia na obłokach łąk  
teraz  
pomarszczone Złote Gody

## Sytuacja 27

Wczoraj późnym wieczorem  
teatr uliczny objawiał sztukę  
o aniołach

Był też diabeł

Pomiędzy widzami  
widziałem ciebie

Nie miałaś już skrzydeł

c.d. na stronie 19

dok. ze strony 18

**Sytuacja 28**

/Jurgen/

Posadził drzewo  
następnego dnia eszelong  
zabrał go na Wschód

Dzisiaj trzebiłem sad  
najpierw ściałem jabłoń  
której owoce jedliśmy przez lata

Nie wiem czy jakiś pociąg  
przywiózł

Jurgena z powrotem

Żywego

**Sytuacja 29**

/leśna/

Na leśnym dukcie kilka kilometrów  
od szosy piękna i srebrna Toyota  
Avensis. Drzwi, pokrywa bagażnika  
otwarte. Kiedy przejeżdżałem obok  
tym swoim czerwonym rowerem na  
oponach 26x2,125 zobaczyłem parę  
bardzo już starszych siedzących na  
rozkładanych fotelikach. Nie od-  
powiedzieli na moje pozdrowienie.  
Drzemali obok tej cud Toyoty. A po-  
nad zapach z sosen i śpiewały ptaki.

**Sytuacja 30**

/miejska/

Przesiaduje teraz na ławeczce  
pod blokiem  
/nigdy nie miał na to czasu/

Mówi mi że bardzo słabo widzi

Sięga do koszyczka z truskawkami  
wybiera je smukłymi jak u pianisty  
palcami

Wychudzona dłoń ramię  
koszulka jakby o dwa rozmiary  
za duża

Mówi mi o szpitalu  
że to tylko czasowa zmiana  
metabolizmu  
wypisany do domu ma dużo jeść

Rozmawiałem z jego synem  
wie o rokowaniu  
- „tak do sześciu miesięcy,  
proszę pana”

Z. Marek Piechocki „Sytuacje”

Gorzów Wlkp. 2008 Wydawnictwo autorskie

**Alicja Łukasik** kilka dni temu skończyła 15 lat. Moim zdaniem to bardzo wcześnie na debiut, ale nie ma na co czekać. W ostatnim czasie autorka poczyniła zbyt duże postępy, żeby ją lekceważyć, w naszym mieście nie powinna już być anonimowa, bo zaczyna wyraźnie się wyróżniać, a przy odpowiednim rozwoju, odrobinie pokory i chęci, za kilka lat może się wybijać już nie tylko na naszym podwórku. Na początek tylko kilka tekstów, do tego niezbyt długich, nie widzę jednak sensu w szukaniu wypełniaczy. Wybrałem moim zdaniem najlepsze teksty Alicji, jakie dotąd napisała i mam nadzieję, że ich liczba (nie zapominając jednak przede wszystkim o poziomie), będzie przyjemnie rosła, bo te dojrzałe już nieraz teksty powoli wpisują się w styl i wartość urodzonych dekadę wcześniej. Warto do poetyckich prób Alicji podejść bliżej i dobrze im się przyjrzeć, ciągle jednak częściej ganiąc niż głosząc. Pochwały jeszcze nikogo niczego nie nauczyły.

Karol Graczyk

## ALICJA ŁUKASIK – WIERSZE

\* \* \*

w naszym domu przeciąg  
gubi się między dywanem  
a podłogą  
dlatego więcej czasu zajmuje nam  
szukanie siebie nawzajem

z zasady wrastamy w ściany  
zmieniając się w tynk - to boli  
jak sufit przelamany nad głową

\* \* \*

wchodzimy w te miejsca  
równolegle  
nie licząc zużytych kroków  
od których  
trzęsie się ziemia  
wchodzimy w te miejsca  
pod kątem ostrym  
lubię kiedy mocno mnie trzymasz  
pokonując małe stopnie  
wchodzimy w te miejsca od linijki  
nie uderzy w nas żadna pomyłka

\* \* \*

A teraz zapomnijmy o tym,  
czego jeszcze nie ma.  
Nieważne, że za jakiś czas droga  
skurczy się  
do rozmiarów skakanki  
i będziemy zmuszeni  
przechodzić pojedynczo;

to nic, że niedługo  
nie będziemy czuć  
smaku drzew na języku, a kamienie  
leżące na poboczu stracą kolor  
i kształt;  
to nic, że wiatr kurzem zasłoni  
nam twarze

a w lustrze zobaczymy kogoś innego.

## Gdziekolwiek

Asfalt przykleja się do butów.  
Coraz trudniej się od niego  
oderwać  
nie pozostawiając śladów;

jeśli nie one, wyda nas drzewo  
stojące na poboczu drogi  
albo ptak lecący nad nami.

Gdziekolwiek stoimy,  
grunt pod  
stopami rozsuwa się.

\* \* \*

Niebawem nasze domy  
zawałały się  
pod ciężarem fali  
pozostanie nieuformowana  
góra piasku  
z glonami zamiast okien  
(zaznaczyłam ten punkt  
na mapie  
trzeba tylko nadać mu imię)

opuścimy plażę z muszlą  
w kieszeni  
w chłodne dni będzie  
nas ogrzewać



Piszę wiersze, uczę się  
grać na gitarze, poza  
tym niewiele potrafię.  
3 miejsce w ogólnopolskim konkursie poetyckim im. Janusza Korczaka w Płocku, 1 miejsce w ogólnopolskim konkursie poetyckim im. ks. Jana Twardowskiego w Tarnowskich Górach.

## A w Chojnicach...

### Jako to poeci w Chojnicach – duchowo balowali

Ogólnopolskie Spotkania Poetyckie organizowane przez Chojnicką Grupę Poetycką „Na oścież” (Małgorzata Ostrowska, Mirosława Peplińska, Łucja Gocek, Henryk Marchel, Bernadeta Korzeniowska), odbyły się już szósty raz. Są to swoiste warsztaty, których gośćmi specjalnymi byli w tym roku krytycy: Andrzej Krzysztof Waśkiewicz i Wojciech Boros. Bliski kontakt piszących ze sobą oraz z krytykami – to ciekawa forma wymiany zdań na temat powstałej poezji. Zawodowcy jak zwykle udzielali wskazówek, narzucali własne spojrzenie na wiersz, na jego tematykę. Słowa „ale co nas to obchodzi – nas czytelników” padały pod nie jednym wierszem. Zostaliśmy uwrażliwieni przede wszystkim na to, by czytać, by przyglądać się poezji, by zastanowić się nad pytaniem – co ja nowego mogę pokazać, w jaki nowoczesny sposób ująć temat i co już zostało zrobione przez innych poetów. Ważne przecież by być oryginalnym, by umieć siebie wpisać w powstałą literaturę. A.K. Waśkiewicz podkreślił, że są dwie drogi wchodzenia w poezję: pierwsza, w wyniku następowania po sobie kolejnych nurtów „poezja jako życie”; druga jako

drogi własnej realizacji, wypowiedzenia swoich poglądów; funkcja terapeutyczna, gdyż poezja wypełnia czas, ośmiela, pozwala obłaskawić rzeczywistość, znaleźć sposób radzenia sobie w niej; dowartościowanie; przyjemność intelektualna; możliwość autokreacji (stwarzania siebie na nowo); możliwość przeżywania barwy uczuć, przelewania ich na papier; danie świadectwa o współczesności, o zainteresowaniach i problemach ludzi piszących i czytających w danym okresie; integracja ludzi ze sobą, środowiska piszących, intelektualistów. Warto podkreślić, że już Arystoteles zwracał uwagę na rolę sztuki, a w szczególności poezji, która polega z grubsza na tym, że „sublimuje, uszlachetnia pierwotne, prymitywne i prostackie popędy, instynkty, potrzeby; oczyszcza z nadmiernych, niepokojących i gwałtownych emocji; eliminuje agresję, wewnętrzne konflikty i kompleksy; rozładowuje napięcia”. Zapewne dlatego choćby warto pisać i czytać poezją, a przy okazji brać udział w poetyckich warsztatach.

Takie właśnie warsztatowe omówienia – są najcenniejszym elementem tego typu spotkań. Ciekawym punktem warsztatów było rozstrzygnięcie konkursu poetyckiego „O srebrny klucz” Charzykowy 2008. Zdobyła go wiersz „Wyznanie wiary” Agnieszki Tomczyszyn-Harasymowicz. Ja otrzymałam w tym konkursie wyróżnienie za wiersz pt. „Sobótka”.

odtworzenie tego co już było „poezja jako dopełnienie życia”. Ci, którzy zajmują się poezją „domową”, na skalę własnej rodziny, własnego tylko najbliższego środowiska – uprawiają tak zwany „dokument osobisty życia”. Oczywiście nie należy tej twórczości dyskredytować, choć warto mieć jej samoświadomość. Wtedy od wiersza nie będziemy oczekiwali nie wiadomo czego. Będzie to zabawa, intelektualna rozrywka. To bardzo dobre uświadomienie piszących. Krytycy zaprezentowali zebranym również okrojony kurs historii literatury, zwracając uwagę na osiągnięcia Białoszewskiego czy Grochowiaka. Problematyka roli poezji wyrasta bowiem zawsze z refleksji nad wartością poezji w życiu społecznym oraz nad przysługującymi jej prawami i nad rozmiarem wysiłków społecznych, których byłaby godna. Jest to bardzo aktualny problem, zwłaszcza biorąc pod uwagę następujące radykalne zmiany kulturowe. Ważne jest zwrócenie uwagi na problem praw i obowiązków poety. Początkowo w dziejach literatury – poeta był rzemieślnikiem działającym wg określonych z góry zasad. Wszystko to uległo przemianom w dobie renesansu, gdy poeta stał się władcą słowa, prawodawcą języka ojczystego. Ewa Krawczyk w swoich badaniach podkreśla nawet, że ówczesna władza poety konkurowała z władzą królewską i hierarchiczną. Później ten model się wielokrotnie weryfikował, zmieniał, ale wyraźnie widać, że rola poety była dostrzegana od zarania piśmiennictwa. Oczywiście mowa tutaj o poezji przez duże „P”. Zarówno jednak poezja wielka jak i mała (poezja jako dopełnienie życia), spełnia swoje określone funkcje, którymi są między innymi: uwrażliwienie i uduchowienie; otwarcie oczu na coś kruche, ulotnego; pokazanie szczegółu (drobiazgu) w nowym świetle, w innym kontekście; możliwość samozaspokojenia, zrozumienia świata i samego siebie; otwarcie

### Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz Wyznanie wiary

*Bóg wyrzekł słowo stań się,  
Bóg i zgiął wyrzecze*

A. Mickiewicz, Reduta Ordona

I.  
na przekór zmęczeniu i nudzie  
przykładam się do modlitwy

mam różaniec kupiony na allegro  
w palcach skupiam wiare  
i nie muszę ich wkładać w żaden bok

nie potrzebuję drugiego człowieka  
w niepewności szukam boga w necie  
są tu wszyscy bogowie

litania jest prosta  
trzy kliknięcia myszką  
i zmartwychwstanie  
moi bohaterowie są nie śmiertelni  
i podatni na rozkazy

II.  
kiedy brakuje prądu  
brakuje wiary i bohaterstwa  
bogowie z tarczami u ramion  
znikają jak pierwszy śnieg

życie na łączach  
nie skłania do refleksji  
chyba że Bóg wyłączy prąd

### Chojnicka Noc Poetów

Natomiast punkt kulminacyjny miał miejsce w Chojnicach, gdzie 2 sierpnia odbyła się XIV Chojnicka Noc Poetów. Na ucztę dla duszy zaprosili wszystkich lubiących poezję – Burmistrz Miasta Chojnice, Miejska Biblioteka Publiczna i Chojnicki Dom Kultury. Impreza ma już swoją tradycję. Noc Poetów wymyślili przed 14 laty – Zbigniew Buława, na co dzień urzędnik referatu kultury tamtejszego Ratusza i Kazimierz Rink – dziennikarz radiowy. Chodziło o sprawdzenie i wytestowanie modelu „poezji publicznej” forsowanego kiedyś na wielkich obiektach sportowych przez Jewgienija Jewtuszenkę. Początki były bardzo skromne. Dużo poezji śpiewanej w nocnej scenerii miasta, poetów na scenie i udział w tym wszystkim Mistrza Sztuki Zygmunta Słowa – WOJTKA SIEMIONA. Potem do Chojnic co roku zjeżdżał już cały aktorski świat: Olgierd Łukaszewicz, Jan Englert, Adam Hanuszkiewicz, Anna Seniuk, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Hanna Banaszak, Antonina Krzysztoń, Raz, dwa, trzy, Grzegorz Turnau, Grażyna Barszczewska, Paweł Dełag, Jan Nowicki, Grażyna Barszczewska, Artur Barciś, Krzysztof Kolberger (dwukrotnie), Marian Opania, Mirek Czyżykiewicz, Henryk Talar i wielu innych. Tylko raz w Fosie lunął deszcz i impreza została na prawie pół godziny przerwana. Było to w 2002 roku, gdy zaśpiewał z Anawą jeden ze swoich ostatnich koncertów Marek Grechuta. Pięć lat temu poeta i aktor Krzysztof Pieczyński nie chciał wyjść na scenę, stwierdził bowiem, że jeszcze nigdy nie czytał swoich wierszy ponad dwutysięcznej widowni i że... obezwładnia go i paraliżuje trema, której nie pokona. Wielkim wydarzeniem NOCY przed dwoma laty w hali OSIRu (spadł wtedy rzęsyty deszcz)

był występ Krzysztofa Kolbergera z tekstami ks. Jana Twardowskiego. Cztery dni wcześniej aktor opuścił klinikę onkologiczną i słańiał się na nogach z wycieńczenia. Publiczność wstała i zgotowała mu ponad 10-minutową owację. Aktor ze wzruszenia rozplakał się przed widownią, a potem wszedł między publiczność i ścisnął ludziom dłonie. Było to coś niesamowitego zupełnie, bo ludzie też płakali, wszak od śmierci księdza-poety upłynęło niewiele ponad pół roku, a jeszcze wcześniej odszedł przecież Jan Paweł II. Tym razem do Chojnic zawiąły gwiazdy szklanego ekranu: Sławomira Łozińska (która zagrała m.in. w serialu „Daleko od szosy”, gdzie wcieliła się w rolę Bronki); Tadeusz Chudecki (grający Henia, przyrodniego brata Norberta w „M jak miłość”) i Maciej Damiński (znany między innymi ze „Stawki większej niż życie” czy „Rzeczpospolitej babskiej”). Organizatorzy zaprosili także poetów. W sierpniową noc było można posłuchać poezji w wykonaniu Adama Ziemanina, (którego teksty śpiewa m.in. Stare Dobre Małżeństwo), Andrzeja Waśkiewicza (laureata nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza), gdańskiego mistrza pióra Wojciecha Borosa, Elli Hyciek. Podczas XIV Chojnickiej Nocy Poetów nie zabrakło również poezji śpiewanej. Wystąpili: YesKiezSirumem, Lidia Jazgar z zespołem oraz Andrzej i Maja Sikorowscy również z zespołem. Scenariusz tego przedsięwzięcia od jego początku przygotowuje Kazimierz Rink. Jak co roku podczas Chojnickiej Nocy Poetów rozstrzygnięta została kolejna edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Jednego Wiersza, a laureaci zaprezentowali swoją twórczość. Konkurs wygrał wiersz Jana Barona z Krakowa pt. „Cudze historie”.

**Beata Patrycja Klary**  
współpraca Kazimierz Rink

## Projekt: Pracownia Literacka

Od września 2008 roku MCK Chemik rozpoczyna nowy projekt artystyczny: „Pracownia Literacka”. Projekt ten skierowany jest do wszystkich Twórców i Sympatyków poezji oraz prozy i ma charakter warsztatowy. Spotkania odbywać się będą pod opieką Uczonych w Piśmie Prowadzących, którzy ocenią przyniesione teksty, doradzą jaki rodzaj kosza będzie najlepszym miejscem na ich składowanie, pomogą w rozwijaniu warsztatu poetyckiego i umiejętności konstruowania wiersza przy użyciu znanych oraz całkiem obcych środków wyrazu artystycznego. W ramach Projektu planujemy cykliczne spotkania z uznanymi Twórcami z kręgu poezji i krytyki literackiej. Spotkania odbywać się będą w klubie „MAGNAT” działającym przy MCK Chemik, co miesiąc, w środy od godz. 18.00. Pierwsze spotkanie w dniu 17.09.2008, godzina 18.00. Wszystkich zainteresowanych Projektem serdecznie zapraszamy.

## Nowa stajnia Karola

*Stajnia poetycka* jest projektem powstałym pod auspicjami portalu internetowego Karola Graczyka PKPZin. Zrzesza grupę kilku poetów, przede wszystkim młodych – Karolinę Grządziel, Miłosza Michałowskiego, Dominikę Waśko, Damiana Gądka, Wojciecha Radocha oraz Marcina Komorowskiego. Przyjmowani do Stajni są wyłącznie poeci, którzy prezentują równy, dobry poziom, a nie mogą się jeszcze pochwalić sukcesami (mam tu na myśli zarówno książki, jak i konkursy literackie). Celem grupy jest wzajemna nauka warsztatu poetyckiego i w pewnym stopniu „opieka” portalu i jego aktywnych czytelników nad kierunkiem, w którym poeci ci powinni podążać, aby mogli się niebawem znaleźć w gronie tych, którzy sukcesami móc się pochwalić już mogą. W tym celu, poza wspomnianą nauką warsztatu, staram się tu i ówdzie o publikację tekstów zrzeszonych poetów, aby mogli zostać zauważeni przez większe grono czytelników. W drugim tegorocznym numerze *Pegaza* ukazały się teksty jednej z poetek Stajni – Karoliny Grządziel, chociaż celem jest oczywiście prasa ogólnokrajowa, w którą udało się np. ostatnio „wplątać” Miłosza Michałowskiego.

Jan Baron

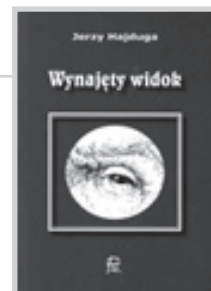
## CUDZE HISTORIE

1. Zagaduje mnie kobieta sprzedająca obwarzanki:  
wnuk-elektryk pracował za granicą, powódź,  
źle izolowane przewody, fale prądu przepływające  
przez ciało. Odplacam kradzioną monetą,  
historią znajomej zgwałconej i zamordowanej w Anglii.  
Po niebie przemykają ciemne chmury ptaków  
wydających przeraźliwe krzyki, jakby powietrze  
było pętlą dławiącą ich gardła.
2. Nad ranem przez park przechodzi zimny ogrodnik,  
ptaki kładzie jak kwiaty. Chłopiec wybiega z bloku  
prosto pod samochód.  
Staruszka wnosi po schodach cerkwi wiadro wody;  
w palce wrzyna się metalowy pałak, grubieje żyła na skroni.  
Młody Rumun przypała niedopałkiem policzek śpiącej  
żebrałki

Widzę to, czego nie widać  
po mnie.

## Nagroda dla J. Hajdugi

4 lipca ksiądz poeta Jerzy Hajduga otrzymał Nagrodę Kulturalną Drezdenka za działalność na rzecz upowszechniania kultury na terenie miasta i gminy Drezdenko. Przypominamy, że w latach 90. był on twórcą tzw. „zagłębia poetyckiego”, które wyprowadziło na rynek poetycki kilka znaczących nazwisk m.in. Karola Francuzika, Walczaka i Macieja Zdziarskiego. W ostatnim czasie ukazała się nowa książka Jerzego Hajdugi pt. „Wynajęty widok” – wydanie autorskie przy współudziale Fundacji Sztuki na rzecz „Integracji” i wydawnictwa „Anagram” w Warszawie. Kilka wierszy z tego tomiku po raz pierwszy ujrzało światło druku w Pegazie Lubuskim.



## Drugie życie „Antologii”

Przez kilka tygodni w czołówce list bestsellerów gorzowskich księgarni utrzymywała się książka – „Wsluchani w kamienie Gorzowa” – antologia wierszy wywiedzionych z życia Gorzowa i jego mieszkańców napisanych przez poetów, którzy żyli, żyją lub gościli w tym mieście.

Książka ta po raz pierwszy ukazała się oczom czytelników na stoisku Związku Literatów Polskich podczas kiermaszu z okazji Dni Gorzowa 7. czerwca br. W przeddzień kiermaszu w WiMBP miało miejsce spotkanie autorów, których wiersze posłużyły I. K. Szmidowi do ułożenia antologii.

Na ostatniej przedwakacyjnej sesji Rady Miejskiej radni oraz członkowie Zarządu Miasta z prezydentem Tadeuszem Jędrzejczakiem otrzymali od Zarządu Oddziału ZLP list z podziękowaniem za wspieranie akcji wydawniczej przyczyniającej się do rozwoju środowiska literackiego Gorzowa. Wraz z listem wszyscy otrzymali antologię „Wsluchani w kamienie Gorzowa” i ostatnie książki z serii Biblioteki Literackiej Pegaza Lubuskiego.

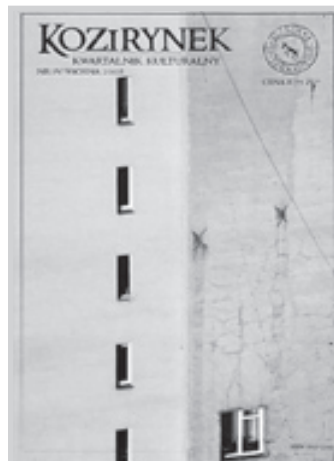


## Marek Grewling Kto wkurza Kurzawę?

Z uwagą i niekłamanym zainteresowaniem czytam kolejne numery „Komunikatów 2” redagowanych przez Eugeniusza Kurzawę. Chciało mi się wyrwać „redagowanych z pasją”, ale nie napiszę tak, bo *pasio* to męka, a w piśmie Eugeniusza, żadnych cierpień nie ma, za to odnajduję lekkość i nieskrępowanie w najlepszym znaczeniu tych słów, co staje się miodem dla serca czytelnika, który tak jak ja kocha wolność jednostki. Nie mam zamiaru oszukiwać właściciela, wydawcy i redaktora naczelnego „Komunikatów 2”, że zgadzam się z każdą myślą i każdym zdaniem pomieszczanym w Jego Piśmie. Wiem, po prostu czuję to przez skórę, że literat i publicysta tej miary co Kurzawa obraziłby się gdybym zaczął Jego, co „nie cierpi Piłsudskiego” (gratuluje tekstu) kreować na „autorytet” i wciskać w jakiś kostium neorzeczpospolitańskiej poprawności. Kurzawa mówi własnym głosem. To jest najważniejsze. Nie posuwa się do obrzydliwej poprawności, która zabija wolność. Czytelnik, o ile wystarczy mu sił intelektualnych, sam wybierze. Jednak naszym współczesnym problemem jest możliwość wyboru. Wystarczy poczytać prasę i jakoś tak dziwnie człowiek czuje jakby czytał jednego redaktora, który w różnych (ponoć) pismach publikuje to samo, o tym samym, z drobnymi modyfikacjami kosmetyczno – frazeologicznymi. I jak tu mówić o wyborze? Dzięki Ci Kurzawo, że dajesz wybór. To przedsiemek wolności. Czytam w „Komunikatach 2” różne artykuły wieloaspektowo – co miłe – traktujące o jednym zagadnieniu, jak choćby „Sojusznik” autorstwa Brydaka i „Męki z bogiem urojonym” Strońskiego. Polityka jest obecna, owszem, ale polityka zupełnie pozbawiona jakiegokolwiek kagańca. I dobrze. Bo dlaczego ktokolwiek miałby prawo narzucać poprawność światopoglądową? Oj mają ludzie tupet namaszczać samych siebie na wszystkie cokoły. A Kurzawa mówi „nie”! I dobrze. Ktoś pokazuje, że postawa klęcząca przed jakimkolwiek cokołem tego, lub innego mitu niekoniecznie jest miłe dla kolan, a jeszcze mniej konieczne w ogóle miłe. Owszem oświecanie jest pracochłonne, niewdzięczne i naraża luminarystę na kuksańce z różnych, wszak przewidywalnych stron. Nie dziwi więc, że Kurzawa się czasem wkurza. W jednym z numerów Pisma naczelnego sugeruje nieco kokieteryjnie: „Mam ogród z trawnikiem, zatem koszenie trawy też może nadać życiu sens...”. Ejże, panie Redaktorze, proponujemy to innym, bardziej godnym zajęć agrarnych redaktorom, których nazwiska niech pozostaną słodką tajemnicą. Pamięta Pan ostatnie wersy swego artykułu „Same herezje”? Pozwolę sobie zacytować i sam chętnie zastosuję: „Ot pomarudziłem i do normalnej orki”.

## Nadesłane do „Pegaza”

„Wyspa” to również nowy kwartalnik kulturalny (na rynku od kwietnia 2007 r.), warty polecenia. Jego redaktor naczelny – Marek Ławrynowicz tak mówi o tym piśmie: „Mam wiele pragnień związanych z „Wyspą”. Chciałbym, żeby była pismem wyjątkowym, ale przecież każde pismo literackie jest w jakiś sposób wyjątkowe. Chętnie bym napisał, że takiego pisma jeszcze nie było, ale w literaturze wszystko już było, a jeśli nawet nie było to zaraz będzie. Być może jestem nieco staroświecki, ale wierzę w siłę artystycznych osobowości i w to, że różnorodność jest najbardziej interesująca. Dlatego spróbuje zebrać różne barwy i odcienie w tęczę”. I tak właśnie się dzieje. Wartym polecenia jest przede wszystkim działy felietonu, ze znakomitymi felietonistami Jerzym Górzanskim i Piotrem Wojciechowskim. Polecam dopłynąć do „Wyspy”.



\* \* \*

Kwartalnik „Kozirynek” to zaledwie roczny periodyk kulturalny wydawany przez Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych w Radzynie Podlaskiej. Opasłe wydanie (188 stron), na wysokogatunkowej kredzie – stanowi nie tylko wspaniały przykład na dobrze zrobione pismo, ale również pokazuje, że „można”. Można kulturę serwować w ciekawy sposób. W „Kozimryнку” znajdują się zarówno felietony, eseje, wszelkie prozy, jak i ogromnie dużo poezji. W ostatnim numerze wiosna 2008

(oddanym dla czytelnika w czerwcu), publikował swoje wiersze nasz gorzowski poeta Zygmunt Marek Piechocki. Okrasą wszelkie tekstów są zawsze świetnie wykonane zdjęcia, których przeglądanie sprawia dużo przyjemności.

**BPK**

## Mają książki swoje historie

Napisano już sporo książek o książkach, o ich losach, zdarzeniach z nimi związanymi, o ludziach, na których życie miały decydujący wpływ.

Poniższe dwie historyjki niech będą zaproszeniem Czytelników „PL” do opowieści o historiach swoich i nie tylko swoich książek.

\*

Podczas spotkania z Wojciechem Kuczokiem Lidia Przybyłowicz podzieliła się z zebranymi następującą anegdotą. Wiosną była z zespołem „Mali Gorzowiaczy” w Stanach Zjednoczonych, w mieście Portland położonym na dalekim wschodnim wybrzeżu. Przed powrotem do Polski postanowiła kupić sobie książkę do czytania podczas długiego lotu. Poszła do ogromnej, kilkupiętrowej księgarni z ofertą książek liczoną w dziesiątki tysięcy woluminów, chyba we wszystkich językach. Jej przewodniczka zwróciła uwagę, że nawet są książki po polsku. Były dwie: „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza i „Gnój” Wojciecha Kuczoka.

Spodziewała się zapewne, że autor ucieszy się z takiego towarzysztwa i w tak odległym od Polski miejscu. Niestety, Wojciech Kuczok nie zainteresował się opowieścią, jakby był przekonany, że jego książki powinny być we wszystkich księgarniach świata.

\*

Pewnego dnia Ireneusz K. Szmidt dostał e-mailem bardzo grzeczny list od pani z Ozorkowa z pytaniem, czy byłaby możliwość kupienia jego książki dla dzieci pt. „Tata ma fiata”. Książeczka, którą popełnił przed laty, adresowana była do pięcio-, sześciolatków, a przy okazji, że „Tata ma fiata” uczyła zasad ruchu i znaków drogowych. Książkę wydała Krajowa Agencja Wydawnicza, sprzedawana więc była na terenie całego kraju.

Poszukiwanie właśnie tej, całkiem marginalnej w jego dorobku książeczki, wzbudziło zainteresowanie autora. Zapytał więc panią, która zabiegała o nią, o przyczynę. Oto co odpisała: *Była to ulubiona książeczka z dzieciństwa mojego syna Macieja. Jak już był w szkole podstawowej organizowałam zbiórkę książeczek do domu dziecka. Uznałam, że Maciuś jest już duży i książeczkę „Tata ma fiata” przekazałam dzieciom z tego domu. Rozpaczkał strasznie, ale było już za późno. Sprawa leżała mi na sercu; bardzo się wstydziłam, że ja - bibliotekarka, która kocha książki, sprawiłam własnemu dziecku taką przykrość. Przez te wszystkie lata szukałam książeczki, ale nie mogłam jej dostać. W czerwcu Maciej kończy 18 lat. Chcę mu sprawić niespodziankę i ofiarować mu tę książeczkę. Dzięki internetowi odnalazłam Pana. Bardzo się cieszę, że po kilkunastu latach będę mogła naprawić swój błąd.*

Chyba nie trzeba dodawać, że autor przesłał Maciejowi książkę jego dzieciństwa z życzliwą dedykacją.

**KK**

**Beata Klary**  
**SOBÓTKA**

Jeszcze mam na plecach wilgoć  
od wcierania ciebie  
i karmelkowy posmak podniebienia.

Doskonałość dotyku  
odnajduję w szylkretowym futrze kota,  
przy tulipanach Rembrandta,  
na kokonach jedwabników.

Ale najważniejsze jest źródło, bo nie  
nie dorówna  
twardości męskich nóg spiętych gotowością  
gdy domykasz kobietę.

Jeszcze włosy w oparach  
rozgniecionych traw i zasłyszana cisza.

**COITUS**

Już zabrałeś falbany przy spódnicy,  
już rozplotłeś warkocze,

prawie jestem twoja.

Jeszcze tylko rozepniesz mnie na  
siatce zmysłów i  
wyglądzisz prześcieradłem z syntetycznej kory

Zacznę wtedy zacierać granice rozumu,  
coś tam mówić,  
szeptać i krzyżeć na zmianę,  
choć i tak nie usłyszysz wewnętrznego łkania,  
a strach przed ciemnością uznasz za spełnienie.

W takim stanie, prawie bólu,  
gdy nie można uciec, bo biodra przyszyte,  
zdołasz jeszcze zarysować ślady,  
i do płuc zaczerpnąć rozedrgane życie.

**Maria Borcz**

**WYZNANIE CHŁOPCA**

w schronisku dla niechcianych  
za kratami obojętności  
pełnowartościowe  
wybierają do adopcji

przebywam tu tylko chwilowo  
nie chcę adoptowanych  
wolę swoich  
tylko że oni piją

taka Agata  
przytulanka  
wszyscy ją kochają  
a ja jak porozrywany pajac  
nikt mnie nie przygarnie

Chyba nie zasługuję na miłość

**Teresa Wilczyk-Surmacz**

**ROZMOWA**

Tak blisko

Otwierają się moje ramiona  
wilgotniejsze ciało  
krzyczą porażone oczy

całuj  
całuj mnie  
pierwszy  
pocałunek smutniejszy  
od wierszy

A powietrze między nami  
zatrzaśnięte jak skała  
Przeraźliwy  
chłód Twoich spojrzeń  
zimne krople słów

Ładną mamy dzisiaj  
pogodę  
mówię

**Marek Lobo Wojciechowski**  
**BALLADA I ROMANS (W TLE)**

Dwie kobiety u stołu, w milczącej niezgodzie.  
Zza okna, jak wykute figurki niechęci.

(Najazd, zoom i stop-klatka): słono lśniące oczy,  
śląd grymasu na twarzach i ręce, błędzące

do szuflady, gdzie noże. I parapet, który  
dla ślimaka jest drogą, wybraną przedwczoraj

do celu, nieznanego i nieistotnego.  
To istotne, co wewnątrz. Żywa nieobecność,

bo on poszedł na wojnę lub poznał tę trzecią -  
to nieważne, choć kluczem jest ten, co go nie ma.

Bo to on jest świat cały, a one się modlą -  
dwie kobiety u stołu, w niezgodzie milczącej.

## Krystyna Kamińska

### Mądre, krótkie i dowcipne

Dziś o najnowszej książce Jana Grossa pod tytułem „Aforyzmy”. Najpierw jednak kilka słów o naszych, gorzowskich satyrykach, a mamy ich kilku i to znakomitych. Do krajowej pierwszej ligi należą właśnie Jan Gross i Tadeusz Szyfer,

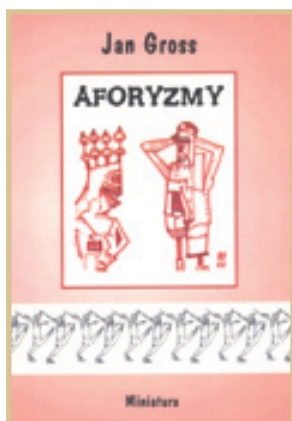
autorzy wielu książek, obecni we wszystkich ważnych antologiach fraszek, aforyzmów lub innych małych form satyrycznych. Po pięćdziesięciu im depeczą dwaj nieco młodszy: Jerzy Grodek od jakiegoś czasu mieszkający z drugiej strony Odry, publikujący po polsku i po niemiecku oraz Ferdynand Głodzik, mistrz dłuższych wierszy satyrycznych świetnie rytmizowanych. Inną kategorię, bo humoreskę uprawia Jacek Lauda, który równie dobrze pisze jak i rysuje. Mistrzem rysowanej karykatury jest Zbyszek Olchowik, znany plastyk.

Wracam jednak do Grossa. Według moich wycień, „Aforyzmy” są jego dwudziestą książką, a wszystkie wydane były w dużych nakładach. Według słownika aforyzm to zwieżła, lapidarna i błyskotliwa wypowiedź zawierająca ogólną myśl filozoficzną, moralną, psychologiczną lub estetyczną. Od poważnych sentencji wyróżnia go błyskotliwa forma oparta na tezie i antytezie. I zabawa słowem, jak choćby tu: *Aby zrobić coś z premedytacją, trzeba dużo medytacji.* Etymologicznie rzecz biorąc, najpierw winno być coś z przedrostkiem pre-, czyli premedytacja. Gross odkrywa, że jest odwrotnie. I że to głęboka prawda. Albo *Człowiek, który wiele może, nie może być sobą.* Oj, nie może, nie może...

Książka Jana Grossa liczy 96 stron, na każdej znajduje się 5-6 aforyzmów, a więc w sumie jest tam blisko 500 takich złotych, a przewrotnych myśli. Ani autor, ani wydawca nie pomogli czytelnikowi w ich ogarnięciu, bo w książce nie odczytuję żadnej myśli kompozycyjnej. Zarówno tematycznie jak i formalnie aforyzmy są dokładnie wymieszane. Czytelnikowi pozostaje więc otwarcie książki na dowolnej stronie i stwierdzenie po lekturze kolejnych zadań: to dobre, albo to trochę cienkie. Ja zdecydowanie częściej mówiłam sobie: bardzo dobre. Na przykład: *Fakt, że nie rozumieją cię współcześni, nie oznacza, że wyprzedzasz epokę.* Albo: *Tragedia męża zaczyna się, gdy żona gra przed nim komedię. Często wyrządza się wiele zła dla dobra sprawy. Wraz z przybliżaniem się przestrzeni kosmicznej, oddala się przestrzeń międzyludzka.* Wszystkie te prawdy dobrze znamy, Gross więc niczego nie odkrywa. Wystarczy jednak, że krótko a dowcipnie nazwie relacje między mężem a żoną, światem a wszechświatem, dobrem a złem. I musimy się zatrzymać, powiedzieć: jakie to proste, a jednocześnie głębokie.

Jedna z myśli Grossa brzmi: Aforysta – powieściopisarz, którego po kilku słowach ogarnęło lenistwo. Nie wiem, czy autor myślał o sobie, bo nigdy powieści nie napisał. Myślę jednak, że celne sformułowanie fraszki lub aforyzmu wymaga jeśli nie równie dużo czasu, to na pewno równie dużo talentu. Na zakończenie jeszcze jedna myśl Grossa, jakże mądra: *Nawet najkrótsze aforyzmy mogą zasłużyć na długowieczność.*

Jan Gross – Aforyzmy, Kraków 2008, Wydawnictwo Miniatura, Rysunki Adam Fijała, s. 96



Jan Gross

## AFORYZMY

**Kary dla wielkich przestępców mają zbyt często rozmiary karłowate.**

**Demokracja – dozwolona forma anarchii.**

**Są tacy dyrygenci, którzy chętnie zamieniliby paleczki na pały.**

**Przed dyktatorem mody kobiety padają na kolana.**

**Nogi pod stołem mówią więcej niż biesiadnicy.**

**Kiedy masz knebel w ustach, milczenie przestaje być złotem.**

**Nawet najskromniejszy kobiecy dekolcik prowokuje do dalszych odkryć.**

**Striptizerka na plaży naturystów jest skazana na bezrobocie.**

## FRASZKI TRUSKAWKOWE

### Gorzkie wspomnienia

*Kiedyś słodka jak truskawka, dziś odbija się jak czkawka.*

### Oskarżenie

*Bardzo wielu panów oskarża białogłowy, że słodkie są krótko jak sezon truskawkowy.*

### Wybór

*choć mógł się pieścić z pewną panią, wybrał truskawki ze śmietaną.*

### Shok

*Kiedy nagle się zsunął jej obszerny stanik, dwie małe truskawki zobaczył u Ani.*

### Metamorfoza

*Kiedyś miała piersi jak dwie truskaweczki, dzisiaj się nie mieszczą do największej beczki.*

### Sezonowa miłość

*Po krótkim sezonie truskawkowym nie zawracała sobie nim głowy.*

### Różne gusta

*Gdy chodzi o słodczyce, to są różne gusta. Ja od truskawek wolę słodkie usta.*

### Podpatrzone na plantacji

*Truskawek nie zrywa, zbieraczki podrywa.*

### Kompot z truskawek

*Wielu ludzi musiało przy tym się napocić, abyśmy mogli w domu pić pyszny kompocik.*

### Daremny trud

*Nie pomogły truskawki w dwóch olbrzymich koszach. Dziewczyna go nie chciała i dała mu kosza.*

Za fraszki truskawkowe Jan Gross otrzymał III nagrodę na konkursie satyrycznym Kartuzy 2008. Został również laureatem III nagrody za fraszki i limeryki o Dzierżonowie i nagrodę za slogan antynikotynowy, przyznaną przez Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Chojnicach.